

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 21 MAJA 1927 ROKU

NR 21

TREŚĆ NUMERU: Prawa i obowiązki — *Dr. M. Kuźmińska*. Czy należy przeprowadzić reformę szkolną — *Natalja Jastrzębska*. „Kobieta ogniskiem” — *M.<sup>o</sup> H. Szpyrkówna*. Felicja Kruszevska (c. d.) — *Wanda Borudzka*. Wiersze: „Obiad”, „Seminarjum przy otwartych oknach”, „Chłodny maj” — *Felicja Kruszevska*. Motyw księżycy (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa (J-a Stycz)*. Plantator z Malaty (c. d.) — *J. Conrad*. Kobieta w świecie i w domu. Z teatrów — *S. P. O.* Z filmów. Z książek — *Leon Pomirowski*. O kinie — *Zygmunt Knothé*. Altanki — *J. S.* Amerykańskie poglądy na sprawę żywienia, jako najważniejszego działu gospodarstwa domowego (dok.) — *Marja Morzkowska*. obiady bez zupy — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Ostatnie nowości — *Well*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Ensemble — *Well*. Sukienka przybrana haftem. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł. Arkusz wzorów*.

## PRAWA I OBOWIĄZKI

Przeszło pół wieku minęło od chwili, gdy na łamach „Bluszcza”, redagowanego przez Marję Ilniczką, poruszono poraz pierwszy „kwestję kobiecą”. Prawdopodobnie nie spodziewano się wówczas, że po latach kilkudziesięciu, gdy kobieta uzyska wszystkie prawa, należne wolnemu obywatelowi, kwestja kobieca będzie nadal aktualna, tylko ujęta z innego punktu widzenia.

Ruch kobiecy, który początkiem swym sięga końca w. XVIII, był spowodowany warunkami ekonomicznymi, ale przyczyny jego leżą o wiele głębiej: przyczyną ruchu kobiecego jest pragnienie niezależności, właściwe każdemu człowiekowi. Niezależność duchowa i materialna jest często tęsknotą całego życia. Tak silne pragnienie niezależności tkwiło w duszy kobiecej, że, walcząc o równouprawnienie, nie zastanawiała się nad tem, co jej ono przyniesie. W poczuciu tej najgłębszej prawdy, że niezależność jest największym skarbem człowieka, przyjmowała z radością i dumą prawa, przynależne dotychczas mężczyźnie, nie oglądając się na konflikt życiowy, który powstawał wskutek jednocześnie wzrastających obowiązków,

W miarę uzyskiwania praw, rozszerzał się zakres obowiązków, które dotychczas były jedynie światem mężczyzny: praca twórcza naukowa i artystyczna, udział w życiu społecznym i politycznym, praca zawodowa, cięższa i gorzej płatna, niż mężczyzny, oto co przyjęła na siebie kobieta, której dotychczasowe obowiązki i tak wypełniały życie.

Jak wtłoczyć to wszystko w bieg jej życia, aby nie wyczerpać jej sił duchowych i fizycznych? — to jest kwestja kobieca dzisiejszych czasów.

Gdy w ciszy własnego domu, w godzinach zapadającej nocy, wraca do swego „ja”, by poprowadzić, tak konieczną dla doskonalenia się, rozmowę samą z sobą i uwolnić duszę od nękażącej rozterki, która towarzyszyła jej w wysiłkach gwarne go dnia, staje przed nią pytanie: dokąd idziesz?

Życie kobiety współczesnej płynie kilkoma nurtami.

Przyzwyczajona do pracy intelektualnej, ma ciągle to poczucie radości, jaką ona daje, to też każdy dzień, który minął bez niej, wydaje się stracony, bo gdy tęsknota intelektualna ogarnie człowieka, wszystko, co czyni, poza jej zaspakajaniem, jest czemś przejściowym, o czem chciałoby się zapomnieć, i spełniając inną pracę: zawodową, lub związaną z życiem rodzinnym, myślą krąży się koło tych zagadnień, których rozwiązanie wzbogaca nasze twórcze „ja”. Ale jakże często, gdy pokona się różne przeszkody i można do nich wrócić, wieje z nich obcość: zagadnienie, ujęte w słowa w chwili twórczej, po upływie czasu, gdy z niem się nie współżyje, staje się tych słów beztreściwym zlepkiem.

To wprowadza kobietę w duchową rozterkę, dla której lekiem jedynym jest stworzenie jej takich warunków, by mogła kontynuować pracę, związaną z jej osobistym rozwojem duchowym.

A w tym czasie płynie nasze życie innym nurtem: pracy zawodowej. Ponieważ wywiera ona silny wpływ na bieg życia rodzinnego, trzeba się zastanowić, o ile charakter pracy zawodowej stwarza nowe konflikty życiowe.

Może więc praca zawodowa pomagać, lub przeszkadzać w spełnianiu obowiązków względem siebie samej i względem rodziny. Jeśli jest pracą intelektualną, ułatwia zadanie wychowywania duchowego własnych dzieci, daje możliwość zrozumienia się wzajemnego, uzyskania autorytetu.

Z drugiej strony, praca umysłowa, która staje się zawodem, choć nie wymaga szczególnych sił twórczych, osłabia je, rozprasza i wtedy praca zawodowa koliduje z twórczą pracą naukową, lub artystyczną.

Praca zawodowa, którą wykonywa się mechanicznie, o ile nie znajdzie się dla niej jakiegoś wytłumaczenia ideowego, uboży, wyjaławia, sprowadza nudę, którą przenosi się do rodzinnego domu; wtedy zadanie wychowawcze matki staje się niezmiernie trudne.

Wkrótce młode pokolenie przerasta ją siłami twórczymi, stopniowo wzrastające niezrozumienie siebie pogłębia się, stają się dla siebie obcymi. Zakres obowiązków rodzinnych zamyka się wtedy dla matki do troski o wychowanie fizyczne i do codziennych spraw gospodarczych.

Dusza jej rozdrabnia się, maleje, stąd rozczarowanie, poczucie krzywdy, żal, który ją trawi.

Dzieci nie wynoszą wtedy z domu rodzinnego największego skarbu, jakim najuboższa matka może je obdarzyć: poezji lat dziecięcych.

Przy jednym i drugim rodzaju pracy konflikt życiowy: tam—z powodu tęsknot intelektualnych i dążeń wzwyż, tu—z powodu obniżania się duchowego, — cofania się.

Jak rozwiązać tę kwestję kobiecą dzisiejszych czasów, w jaki sposób dać kobiecie pracy twórczej, zawodowej, możliwość spełniania obowiązków rodzinnych?

Wszystkie dziedziny są jednakowo ważne: praca, przez którą odnajduje drogę swego rozwoju, to obowiązek względem siebie samej; praca zawodowa, to konieczny warunek niezależności ekonomicznej, a więc

warunek poczucia swojej godności, swobodnie rozwijającego się charakteru; życie rodzinne, to obowiązek względem swej natury.

Problem—trudny do rozwiązania. Trzeba szukać dróg wyjścia, gdyż przeciążenie obowiązkami jest powodem zdenerwowania, osłabienia organizmu, wyczerpania.

Najzdolniejsze jednostki w ciągłej rozterce duchowej — słabną.

Nikt nie rozwiąże dzisiaj tej kwestji, bo to zwyczaj czyni samo życie, ale wytknięcie dróg, próby rozwiązania tego konfliktu—są na czasie.

Prawdopodobnie wielu z nas nasuną się różne uwagi, myśli; byłoby to z wielką korzyścią, gdyby mogły być ujawnione szerszemu ogółowi.

Według mnie, tylko organizacja społeczna może pomóc do rozstrzygnięcia dzisiejszej kwestji kobiecej i dlatego organizacje kobiece mają dzisiaj szczególnie doniosłe znaczenie.

Pierwszorzędnym ich zadaniem jest przyjscie z pomocą twórczym jednostkom, aby ich praca naukowa, czy artystyczna, stała się zawodem, a nie luksusem, na który niekażdy sobie może pozwolić.

W pracy zawodowej przez organizowanie się trzeba dążyć do takich warunków, aby zdolności kobiety były należycie wykorzystane, by praca ta zabezpieczała jej byt materialny w okresie lat pracy i po ich wysłużeniu, a wtedy zrodzi się chęć spełniania obowiązków jak najlepiej, zainteresowanie się pracą, a to z kolei pozwoli jej spojrzeć na pracę zawodową, jako na zadanie życia o charakterze ideowym, uchroni kobietę pracującą od szarzyzny życia.

Trzecim zadaniem organizacji kobiecych jest usunięcie z życia kobiety drobnych spraw gospodarczych i tych utrudnień, z którymi spotyka się w ciągłej trosce o rodzinę.

To też w myśl interesów kobiety winny być rozstrzygane ogólne sprawy gospodarcze.

Jak kwestja kobieca, odrębna w swej treści wczoraj i dziś, tak i zadanie organizacji kobiecych musi być inne: to już nie walka o równouprawnienie, to stworzenie takich warunków, aby kobieta, bez szkody dla siebie, mogła z tego równouprawnienia korzystać.

Dr M. Kuźmińska.



NATALJA JASTRZĘBSKA

## CZY NALEŻY PRZEPROWADZIĆ REFORMĘ SZKOLNĄ

Od dwóch już blisko lat toczy się w kołach nauczycielskich, w prasie fachowej i ogólnej polemika w sprawie reformy szkolnej, zaprojektowanej w r. 1925 przez b. ministra oświecenia p. St. Grabskiego.

Zarówno w sferach nauczycielskich, jak i wśród publicystów ścierają się gorąco zdania za i przeciw tej reformie, której zasadniczą podstawą jest zjednoczenie szkoły średniej ze szkołą powszechną tak, aby dzieci, po ukończeniu 7 oddziałów tej ostatniej, przechodzić mogły do klasy czwartej gimnazjum, które zaczynałoby się dopiero od tej klasy, bez klas niższych.

Zorganizowany przez Towarzystwo nauczycieli szkół średnich i wyższych, odbyty przed kilku tygodniami w Warszawie Zjazd zrzeszeń rodzicielskich wystąpił przeciwko tej reformie, widząc w szkole jednolitej „zakłócenie normalnego biegu i rozwoju szkoły średniej, a wraz z nią całego szkolnictwa”, „osłabienie kulturalnego stanu posiadania narodu” i „zniszczenie jego warstw kulturalnych”.

Czyż tak jest istotnie?

Przeciwko szkole jednolitej wystąpiła, mocą uchwał zjazdu, część rodziców, wypowiadają się przeciwko niej liczne zastępy nauczycieli i dyrektorów szkół średnich prywatnych, zato mamy znacznie mniej głosów nauczycielstwa średnich szkół państwowych, a już najmniej — nauczycielstwa szkół powszechnych.

A tymczasem żaden doświadczony i bezstronny pedagog nie może twierdzić, że szkoła średnia decyduje o rozwoju całego szkolnictwa, więcej — całej kultury narodu! Szkoła średnia jest bardzo ważnym ogniwem w tej kulturze, ale o wykształceniu najszerzych mas decyduje, właśnie, szkoła powszechna. Niedarmo w krajach o wysokiej kulturze ludowej, jak np. Skandynawja, szkoła powszechna otaczana jest specjalną pieczą i nauczycieli jej uważa się za wychowawców narodu.

Otóż przeciwnicy szkoły jednolitej twierdzą, że reforma w tym duchu jest w Polsce przedwczesna, właśnie z powodu niskiego poziomu szkoły powszechnej, nie mogącej przygotować uczniów do gimnazjum.

Zapomina się jednak o tem, że argument ten nie może być zasadniczo decydującym, stanowić on może najwyżej o pewnej ewolucyjności reformy.

Jeżeli, bowiem, szkoła jednolita jest celowa, to nie można odrzucać jej z tego tylko jednego powodu. Wypada, poprostu, podnieść poziom szkoły powszechnej, co i bez reformy zrobić należy koniecznie i na

co nie potrzeba, przy dzisiejszym stanie kultury, kilku dziesiątków lat.

W krótkim artykule, nie przeznaczonym dla fachowców wyłącznie, trudno jest wchodzić w wyczerpujące, specjalne szczegóły programów i ustrojów. Ogólnie jednak zdaje się, że przeciwnicy szkoły jednolitej zbyt pesymistycznie zapatrują się na szkołę powszechną. W miastach stoi ona na poziomie przeciętnie zadawalającym. Że zaś gorzej jest na wsiach, że szkoły wiejskie nie mają dobrych pomieszczeń, że dzieci chodzą do nich nieregularnie, że w wielu miejscowościach istnieją tylko szkoły 2 oddziałowe — jest to smutne, ale to znów zupełnie inna kwestja. Dziecko z drugiego oddziału do gimnazjum nie przejdzie, musi znaleźć się przedtem w innej, 7 oddziałowej szkole. Ale też niema mowy o tem, aby wszystkie dzieci ze szkół powszechnych wprowadzić do szkoły średniej, chodzi tylko o to, aby, zasadniczo, ukończenie jej dawało prawo wejścia do gimnazjum.

Tak samo przesadzone są obawy o obniżenie poziomu szkoły średniej. Wyłoniony z dawnych „klasycyznych” gimnazjów, program naszej szkoły średniej pozostał, mimo pewnych reform w duchu praktyczniejszym, bardzo jeszcze wysoki, w dziedzinie przeciążenia teorią wielu martwych przedmiotów, na niekorzyść ogólnego przygotowania do życia. O ileż niższy jest poziom szkoły średniej w Ameryce, w Belgji, nawet w Szwajcarii. Nasze szkoły średnie są w klasach wyższych, zwłaszcza w zakresie nauk humanistycznych, małemi uniwersytetami. Co, o ile było konieczne wtedy, gdy nie mieliśmy własnych uniwersytetów, o tyle teraz jest niepotrzebne i wywołuje właśnie ciągle narzekania na przeciążenie młodzieży.

Ale, powtarzam, nie widzę tego niebezpieczeństwa obniżenia poziomu szkoły średniej. Miałam sposobność obserwowania przez cztery lata dzieci, które ze szkół powszechnych przeszły, po egzaminie (jak wymagają obecne przepisy) do 4-ej klasy gimnazjum państwowego. Egzamin zdawały dobrze, uczyły się naogół tak samo, jak ich koledzy, którzy przeszli niższe klasy gimnazjum, a nawet, rzecz dziwna, najlepsi uczniowie wyższych klas oweo gimnazjum byli dawnymi wychowañcami szkoły powszechnej.

Przeciwnicy szkoły jednolitej twierdzą, że istnieje powinna selekcja dzieci na zasadzie zdolności: kierowanie zdolnych do szkoły średniej, lub powstrzymywanie słabszych od dalszego kształcenia, ze zwracaniem ich na drogę zawodową. Bezwątpienia — ale to znowu

nie jest argument. Selekcja taka powinna istnieć w każdej szkole. Nie przeszkadza ona jednak daniu ogółowi zasadniczego prawa przejścia ze szkoły powszechnej do gimnazjum.

To wszystko nie są rzeczy zasadnicze.

Zasadniczym jest fakt, że—będąc społeczeństwem z ducha i najstarszych tradycji demokratycznym, narodem, który po swem odrodzeniu politycznym przyznał swym obywatelom odrazu najszerze, najdemokratyczniejsze prawa,—powinniśmy stworzyć dla dzieci tych obywateli demokratyczny, jednolity ustrój szkolny.

To jest zasada, teoria, ale są i względy praktyczne, o bardzo szerokich rozgałęzieniach, które za tą szkołą przemawiają.

Jesteśmy zagrożeni napływającym ze Wschodu bolszewizmem — przeciwko któremu przedstawiamy społeczeństwo niejednolite. Inteligencja nasza jest demokratyczna ideowo bardzo, ale nie zbliżona do mas ludowych, nie zespolona z niemi. Proletariat zaś jest niechętnie do „burżujów“ usposobiony. Jeżeli dzieci nasze zasiadą na jednej ławie szkolnej, zbliżą się ze sobą prawdziwie. Dziecko zamożne pozna praktycznie biedę i braki ubożego towarzysza, a dziecko chłopca i robotnika będzie inaczej patrzeć na zamożniejszego kolegę, pozna jego psychikę, wady, ale i zalety, i na hasła bolszewickie przeciw towarzyszowi szkolnej ławy nie pójdzie tak łatwo, jak obecnie.

To są względy polityczne. I bardzo ważne. Bo, o ile partyjność nie może być w szkole tolerowana, to racjonalną politykę szkolną państwo prowadzić musi.

Ale są i względy pedagogiczne, równie poważne.

Dzisiejsza szkoła średnia jest całokształtem: o ile uczeń nie skończy jej i nie przejdzie tego całokształtu — jest życiowo wykolejony. Skończenie 4 klas nie daje prawie nic. A czyż dziecko, wstępujące do 1 klasy, może dać pewną podstawę do przypuszczenia, że istotnie ośm klas skończy? Jakie będą jego zdolności i upodobania?

Tymczasem przy szkole jednolitej, po ukończeniu 7 jej oddziałów, odpowiadających trzem klasom gimnazjum, uczeń, poznany już przez nauczycieli, rozwinięty latami i kilkoletnią nauką, daje każdemu dobremu pedagogowi możliwość osądzenia swych zdolności, zaopiniowania, czy nadaje się on do przejścia do szkoły średniej, z pewną, przypuszczalną przynajmniej, gwarancją skończenia jej, czy też — do szkoły zawodowej.

I w jednym, i w drugim razie przejdzie wtedy uczeń całokształt niższego, lub wyższego wykształcenia, nie będzie, obdarzonym testimonium paupertatis, niedowarzeńcem, wyszłym z 4-ej, lub 5-ej klasy szkoły średniej.

Dzisiejsza szkoła średnia, od klasy pierwszej do ósmej, jest przytem machiną ciężką i pod każdym względem trudną do prowadzenia, z powodu swej

właśnie pozornej jednolitości, a faktycznie ogromnych różnic istotnych między niższymi, a wyższymi klasami. Czyż regulamin szkoły, kwalifikacje nauczycieli, ich specjalne, przy dzisiejszym rozwoju pedagogiki i psychologii, przygotowanie metodyczne, kierownictwo dyrektora, system wychowawczy—może być jednakowy dla malca 1-ej, lub 2-ej klasy i młodzieńca, czy panienki z ósmej, za kilka miesięcy—słuchaczy uniwersytetu?

Więc, faktycznie, różnice te istnieją: w klasach niższych wykładają inni nauczyciele, stosuje się w nich inny nieco regulamin, ale właśnie dlatego, że wszystko to stłoczone jest w jedną instytucję, występują ciągle tarcia, sprzeczności, mechanizm trzeszczy i szwankuje, wywołując narzekania na „program“ ze strony rodziców, brak przywiązania i lekceważenie szkoły — u młodzieży.

Na zjeździe rodzicielskim mówiono ciągle o roli wychowawczej szkoły. Rodzice żądają od szkoły wychowywania dzieci; nauczycielstwo, uznając w pełni tę zasadę, twierdzi, że zadanie to jest zbyt trudne bez pomocy domu.—To prawda, ale trudne jest i dlatego, że wychowywać w jednej pepinierze dziesięciolatków i ośmioklasistów, naprawdę, niemożna.

Wprowadzenie szkoły jednolitej jest zadaniem trudnym i pracowitem, ale to nie dowód, aby było niemożliwym. Rozumiem dobrze idjosynkrazję rodziców zamożnych, drżących o zdrowie i dobre ułożenie swych dzieci, do wprowadzenia ich do szkoły powszechnej—nieraz istotnie nisko stojącej, ale to są warunki przemijające, poziom tych szkół i poziom tych dzieci podnosi się z każdym rokiem, a wobec ciężkich warunków naszej inteligencji, jak wielu z niej musi już dziś oddawać dzieci do szkół powszechnych—w braku funduszy na szkołę średnią!

Wprowadzenie szkoły jednolitej, oznaczające zamknięcie niższych klas gimnazjów, stworzyłoby trudności materialne dla szkół prywatnych, wiadomo, bowiem, że te niższe klasy „opłacają się“ najlepiej, ale i na to można znaleźć radę. Państwo mogłoby tymczasowo nadać tym niższym klasom szkół prywatnych prawa szkoły powszechnej, tembardziej, że trudno byłoby, zwłaszcza wobec obecnego stanu sprawy mieszkaniowej, otworzyć odrazu dostateczną liczbę tych szkół.

To są wszystko właśnie drogi ewolucji, ale ewolucję tę pojmovać można i należy, jako pomoc przy wprowadzeniu szkoły jednolitej, a nie jako jej zahamowanie. Zasada sama jest dobra i powinna być wykonana.

Spółczeństwo polskie, które większe trudności polityczne i społeczne przezwyciężyło wtedy, gdy obywatelom swym nadawało równouprawnienie Konstytucją 3 maja, może zdobyć się dziś na stworzenie szkoły, która od najpierwszych zaczątków zespoli cały naród w pracy dla dobra ojczyzny.

M. H. SZPYRKÓWNA

## „KOBIE TA OGNISKIEM“

„Co za wstecznic two, mówić kobiecie dziś o jej ogniskul..<sup>1)</sup>”

Postanowiłam sobie dzisiaj napisać artykuł cudzy. Są przecież grzechy cudze! Niechaj popełnię grzech.

„...Kobieta powinna być wykształcona, dobra, gospodarna, towarzyska, wesoła, winna być nadto łatwa w pożyciu, nie narzekająca, nie marudna, nie światowa, nade wszystko zaś powinna być zdrowa moralnie.“

Dlaczego — powinna?.. Kto każe, kto zmusi, gdzie jest drakoński dekalog, który podobne kategoryczne imperatywy kobiecie właśnie — bo gdybyż człowiekowi wogóle!.. gdybyż i mężczyźni również!.. stawia?

Dlatego, że „inaczej nie potrafi nigdy stworzyć ogniska, gdzieby towarzysz jej życia znalazł pokrzepienie, odpoczynek i siły do dalszej, tak ciężkiej dzisiaj, walki o byt.“

I jeszcze:

„Kobieta powinna (znowu!) — umieć stworzyć w domu atmosferę wesela i pogody, bo przecież w niej dopiero można wychować dzieci.“

Bo:

„Rodzina, jest komórką, z której się składa organizm społeczny. Z jej rozkładem następuje rozkład społeczeństwa.“

„Pracując dla rodziny, kobieta pracuje dla narodu.“

A pokazuje się w konkluzji, że wszystko to opiera się, jako o kres najdalszy, o postulat:

— Łączność rodzin jest siłą narodów. — A Polska musi być silna — od podstaw!

Dixi.

Są to postulaty z najbardziej szczegółowo, sumiennie, po obywatelsku i wszechstronnie opracowanej książki dla kobiet u nas, jaką znam: „Kobieta Ogniskiem“ — Platerówny. Wydanie trzecie, a więc czytanej — ba!.. jak mało innych — na nasze ciężkie czasy. Wydanej ostatnio przed rokiem, czy dwoma.

Nad jej treścią i nawet — nad jej formą można długo pomyśleć. I wnioski są, powiedziałabym, bezwarunkowo pocieszające.

Bo i proszę:

Książka, która nie jest powieścią, a którą, mimo to, czytają: ktoś więc jej potrzebuje. Książka, która operuje terminami naukowymi z psychologii, fizjologii, pedagogii, socjologii i szeregu innych logij. Duża konkurencja dla plejady ulicznych sensacyj, jakim po-

święciła swą pyszną parodję Magdalena Samozwaniec!

A którą, mimo te „logje“, czytają kobiety. Książka, która od początku do końca jest za małżeństwem nierozzerwalnym, przeciwko rozwichrzeniu kobiety modernistycznej, za obowiązkami rodzinnymi, przeciwko ich poświęcaniu dla kariery społecznej, czy naukowej, bo z domową kolidują. Która powiada: kobieta powinna, powinna, powinna. Kobiecie niewolno, niewolno, niewolno.

Kobieta jest, była, będzie. A którą, mimo to wszystko, czytają kobiety dzisiejsze.

Czemże kobieta jest, była i będzie?

„Twórczynią ciał i kształtowniczką dusz.“ Tą, która rodzi w boleściach. Chowa w ustawicznej trosce. Która jest taką, inną, lub jeszcze inną nie dla siebie, tylko — bo obok niej jest „towarzysz życia“ — albo dziecko — albo domownicy — a ona, nie towarzysz jej, dziecko, lub domownicy: tylko ona właśnie jest ogniskiem, które ich skupia, łączy, oświeca i grzeje. I rozwesela. Bo i o weselu ducha Platerówna nie zapomina, jako o czynniku zasadniczym w życiu.

Ale, albo nam urosły nieco rogi od czasów przedwojennych, albo nie! Otóż takie stanowisko jest znakomitą okazją, aby je nastawić groźnie przeciwko autorce z oburzonem pytaniem:

— Dlaczego pani mówi tylko o tem, jakimi my, kobiety, powinnyśmy być? A czemu jest mężczyzna, że nic nie musi, a wszystko mu się należy? My nie chcemy, My się buntujemy! My sobie nie życzymy. Równość, to równość! Stajemy nawet do służby wojskowej! Jesteśmy senatorami, adwokatami, majorami. Życzymy sobie, aby oni wzamian nie byli, jako bożkowie domowi, którym trzeba składać ofiary — i nie-raz bardzo, och! jak bardzo kosztowne!

Na to autorka, przewidując opozycję zgóry, mówi:

„Odpowiem, że gdybym pisała książkę dla mężczyzn, potrafiłabym, pewnie, naszkicować ich obowiązki i winy względem kobiet. Piszę jednak tu dla kobiet wyłącznie.“ Z wielu zaś innych stron wygląda inne zdanie, bodaj jeszcze bardziej przekonujące:

„Jakkolwiekby daleko zaszła emancypacja i równouprawnienie, ty, a nie on będziesz rodziła dziecko twoje!

Dziecko jego! Jakkolwiekby potrzebnymi były wyższe stanowiska dla kobiet, znajdzie się i między

<sup>1)</sup> „Kobieta ogniskiem“ C. Plater-Zyberkówny. Nakład Księg. Św. Wojciecha, Poznań.

mężczyznami dobry minister, ale nie znajdzie się taki, który zastąpi matkę, dosłownie, ani przenośnie. I pierwszym, gwałtownym, najmądrzejszym postępowaniem kobiety postępowej jest dzisiaj — pogłębić, rozszerzyć i wykształcić siebie ze stanowiska, przedewszystkiem — kobiecego. Bo:

„...Kobieta, przechodząc z jednej ostateczności w drugą, nauczyła się — lekceważyć i bagatelizować swe obowiązki. Uzasadniając stanowisko człowieka, zapoznaje swe stanowisko — kobiety“.

Możnaby dyskutować, czy to lekceważenie, czy może — bunt, przemęczenie, zarobkowanie. Ale myślę, że te właśnie słowa należałoby wziąć za punkt wyjścia dla kobiecego ruchu dzisiejszego. Nie dlatego, żeby istotnie tak źle było powszechnie, tylko — że zbyt często może, jak na zdrowie społeczne, ten rodzinny motyw jest zapoznany. Że dzisiejsze życie: fachowe, zarobkowe, maszynowe i dancingowe — niewątpliwie żłobi w rodzinie rysę, którą wcześniej, czy później niepożądane czynniki się wcisną. Że, powiedzmy jeszcze „praktyczniej“ — ponieważ napewno już pewna część kobiet, jako element ściśle kobiecy, rozrodczy i wychowawczy, odpadła z całości na korzyść życia pozarodzinnego: należy w pozostałej umocnić, utrwalić, wbić w nią niejako stalowym klinem pojęcie i n t e l i g e n t n e j k o b i e c o ś c i. Że ta pozostała przy kołysce i ognisku siostra musi być kobietą, par excellence esencją „wielkiego W“, z dodatkiem wszelkich cech współczesności. Z wykształceniem takim, aby jej dzieci wspólnie z nią mogły rozwiązywać trudności szkolne, uspołecznioną tyle, żeby jej mąż miał wspólniczkę zainteresowań z konieczności szerszych, niż rodzina, obeznana z zasadami organizacji życia gospodarczego, aby sobie poradziła ze skąpym dziś budżetem domowym. Słowem — niejako uniwersalną. Z książki Platerówny wygląda, że, właściwie, kobieta dobrze, świetnie nawet robi, szukając wyższego wykształcenia i pogłębiając studia, bo — niema takiego wykształcenia i pogłębienia, którego nie potrzebowałyby dla dobrego rządzenia własnym państwem, jakim jest rodzina. Musi być tam mądrym ministrem, sprawiedliwym sędzią, lojalnym współnikiem, wiernym towarzyszem, wytrawnym psychologiem i znakomitym wychowawcą. Musi być, wreszcie, strażniczką tej świątyni — „kapłanką domowego ogniska“. Kapłaństwo kościelne, które z tych, czy innych powodów wyeliminowało kobietę z obrządku rytualnego, tu dopiero, w rodzinie daje jej berło i tytuł. Nie mamy wcale

odpowiednich określników na posłannictwo męskie, takich, jak: kapłanka, westalka, strażniczka. Nie wiemy, na jak długo, ale widocznie na czas dłuższy jeszcze kobiecie ta, cierniowa nieco, korona chwały przypadła. I przeciwnie, w miarę naszej emancypacji, autorka „Kobiety ogniskiem“ nakłada na nią coraz większe obowiązki, bo przecież — musi być tą, dla której mężczyzna — mąż, syn, brat, narzeczony, przyjaciel — są bezwzględnie wielkością do ogarnięcia i nawet — do pokierowania. A trudno się łudzić, aby dziś można kierować samem tylko sercem, bez współdziałania mózgu.

Zastanawiając się nad sprawą rozdźwięku pomiędzy poziomem kobiet z prowincji, a stolicą, mówiliśmy już o nad wyraz ważnym czynniku, którego nam brakuje: o dobrej książce dla kobiet. Dobrą nazywam taką, która, wychodząc z założeń narodowych i obywatelskich, w myśl uznanej religii i etyki, obejmuje najszersze pole zagadnień i trafia przez ich słuszne ujęcie do najszerszej ilości mas. Nie idzie mi w tej chwili o otwieranie nowych, światoburczych dróg, tylko przeciwnie: — o podręcznik życia codziennego w dziś przyjętych, normalnych warunkach. I myślę, że pod tym względem, obok ruchu dokoła wychowania dziecka, jaki zaznacza się dość wyraźnie w stolicy: dobrze jest dać szerokim masom kobiecym podkład, którego im nie może zastąpić karjera społeczna, ministerjalna, ani fachowa, odciągająca kobiety w stolicy.

Dobrze jest dać im podkład rodzinny. Dobrze jest powiedzieć mądrymi, istotnie światłemi, głęboko przemyślanemi, mimo pewien rygoryzm pojęć, słowami autorki tylu dzieł społecznych i specjalnie — kobiecych, to, czego może same nie umieją jasno wyczuć z dzisiejszych zagmatwanych pojęć i fermentów. Że, rozszerzając swój widnokrąg, kobieta nie powinna, jednak, oderwać się od jego zenitu, jakim jest macierzyństwo i rodzina, aby, jak strącona gwiazda, nie spadła w mrok. I że, jakkolwiek zdobędzie placówkę, lub pracę twórczą — i czy będzie miała włosy krótkie, czy nie, suknię taką, czy inną — przedewszystkiem zawsze będzie — matką.

I myślę, że temu właśnie — temu godzeniu w nieprzemijające, jak samo życie, problemy życia kobiecego zawdzięczają książki Platerówny swoją nieprzemijającą również żywotność, która wczoraj, dziś i długo jeszcze w jutro będzie dla niejednej kobiety światłem i drogowskazem w zawiłościach współczesnych warunków.



WANDA BORUDZKA

5

# FELICJA KRUSZEWSKA

„PRZEDWIOŚNIE“. „STĄD — DOTĄD“

Wracając jednak do wszystkich próśb i życzeń, których spełnienie ma przynieść tyle dobrego otaczającemu światu, najbardziej może nas zdziwić w „Noworocznej modlitwie Biedactwa“ zachowana na koniec prośba dla siebie:

.....  
 A dla mnie—cóż dać mi możesz, najlepszy Boże miły,  
 Troszeczkę więcej pieniędzy i dużo więcej siły,  
 I jeszcze zrób, jeśli możesz, najlepszy Boże jedyny,  
 Żeby dzień każdy miał dla mnie dwadzieścia cztery  
 [godziny.

I znowuż odnajdziemy w tem punkt ciężkości całego konfliktu: brak sił i możliwości życia w całej pełni. Ze względu na bardzo proste środki, któremi w nierównej walce życie zwycięża osłabiony organizm, ta jedna rzecz — więcej czasu i fizycznej siły — pozwoliłaby wyjść z potyczek z codziennymi troskami nietylko zwycięsko, albo poprostu bez śladu jakiegokolwiek szarpnięcia. Ile razy, bowiem, udaje się „Biedactwu“ usunąć mechaniczny nacisk życiowych dolegliwości, młoda, wątła, słaba, ale niczem nie przegrziona od wewnątrz, natura odzyskuje sprężystość.

Momentów odprężeń duchowych mamy bardzo wiele w tym cyklu. Bo o ile błahe czasem przeszkody powodowały upadek sił i osłabienie woli, o tyle ekwiwalent równie drobnych podniet do życia wystarcza do odzyskania równowagi duchowej. Dokonywuje się cały szereg ponownych narodzin. Owa rzeźwość, dziecinna bez troska, radowanie się byle czem, cudowna umiejętność mieszczczenia ogromu uciechy na malutkiej przestrzeni błahego zdarzenia spotyka się coraz częściej:

.....  
 Uśmiecham się — mam myśl cudowną,  
 (Strasznie za nią dziękuję Bogu).  
 Będę dzisiaj sprzedawać wiersze,  
 Stanę sobie, jak chłopcy, na rogu.

.....  
 („Handel wierszami“).

Pierwszą fazą tej zdolności powiększania radości zdarzeń, wzmacniania najsłabszych pobudek życiowych, jest właśnie zachodzenie drogi życia z innego końca — ujęcie go od weselszej strony.

Następnym etapem tej serii drobnych odrodzeń i nawrotów do życia będzie umiejętność włożenia całej świeżości nieużytych sił w odczuwanie drobnych przyjemności życiowych:

Świat się dziś śmieje z radości,  
 Kłopoty musiały zmaleć,  
 Mamy dziś dużo pieniędzy  
 I chcemy bawić się, szaleć.

.....  
 („Kino“).

.....  
 Odłożę mądre książki, papiery i słowniki.  
 Tak! Wszystko będzie inne. Jasne, radosne, nowe.  
 Właśnie nie będę rozsądna — dziś będę lekkomyślna.  
 I kupię sobie dwie bomby jasno-czekoladowe.

.....  
 („Lekkomysłność“).

Chwilami to zapanowanie nad życiem, poczucie, że się jest górą, przybiera zupełnie jaskrawe zabarwienie humoru.

Charakterystyczny pod tym względem jest wiersz, p. t. „Choroba“. Przez swoją ogromną plastykę, przy wybitnej prostocie konturów, ma on dużą wartość artystyczną:

Godziny to się śpieszą, to stoją, to płyną,  
 A w pokoju jest zimno i pachnie jodyną.  
 Świeci cichutko lampa, przykryta gazetą,  
 Ktoś mi głowę, jak piłkę podbija rakieta,  
 Czasem mi dadzą spokój, ale to jest rzadko,  
 Kiedy trochę zakaszlam, kłuje pod łopatką.

Rozradowanie życiowe—ciągle jeszcze przesiane przez delikatną siatkę humoru — osiąga jeszcze wyższy stopień napięcia w „Tajemnicy“. Rozradowane jest wszystko w tym wierszu:

Dzień jest poprostu skrzydlaty, a wiatr wilgotny i świeży  
 Zatacza się po ulicach, w wilgotnych kałużach leży,  
 Słońce na środku jezdni rozstawia złote krosna,  
 Pędzę i chciałabym krzyknąć: „Dziś jest napewno wiosna!  
 Ty nic o niczem nie wiesz i idziesz obojętnie,  
 O jakżeby do ciebie podeszła teraz chętnie“.

.....  
 Zobaczyc twoje oczy, które się w słońcu mrużą?  
 Ja tego nawet nie chcę, to byłoby za dużo.

.....  
 Serce pęcznieje w piersiach radosną tajemnicą:  
 Dziś przechodziłam w południe tą samą, co ty, ulicą.

W tej naiwnej uczuciowości uderza nas szczególnie obawa zbyt mocnego wrażenia, strach jakby, że jakieś potrącenie zewnątrz zbyt silnie odezwie się w duszy.

Ogromna wrażliwość jest jakby jednocześnie głośnikiem, potęgującym wszystkie dźwięki świata w tym stopniu, że cała istota może się ugiąć pod brzemieniem przeżyć, a dziecinne serce nie wytrzyma nadmiaru radości.

Wrażliwość tę uświadamia sobie autorka w całej pełni. Uważa ją jednocześnie za jeden z najcenniejszych darów Boga, wypowiadając to z całą szczerością w „Modlitwie dziękczynnej“:

Dziękuję Ci, dobry Boże, żeś życie mi kazał na ziemi  
W czasach, gdy życie się burzy, szaleje, zмага i pieni.

Ze wszystko widzę inaczej, że wszystko potrójnie czuję.  
Dziękuję Ci, dobry Boże, po tysiące razy dziękuję.

Jeśli, jednakże, będziemy mówić o artystycznych walorach tego cyklu, za wszystkie inne mogłaby starczyć ostatnia strofka wiersza „Teatr“:

Tam w domu, w chłodnym pokoju, usiądę na fotelu,  
Wyjmę chusteczkę z kieszeni. Och nie, to tylko zmę-  
[czenie.

Zmęczoną, ciężką głowę opieram na chłodnej dłoni,  
Och przeszedł już wszystko przeszedł Mój teatr się  
zaczyna,

Wydzie ktoś czarny, wysmukły, do ziemi się ukloni,  
Podjedzie w górę błękitna w złociste pawie kurtyna.

Świetnem jest nagle przejście od zmęczenia do tego jedyne go momentu, w którym z duszy wyrasta nagle gmach, mieszczący w sobie wszystkie boleści świata i wszystką jego radość. W pochłaniającem całą istotę poczuciu samowystarczenia, rozpięta w duszy potęga twórcza może zdmuchnąć poprostu świat istniejący i stworzyć nowy. Z przedziwną premedytacją poe-

tycką nie wyjawiony jest nam najdrobniejszy ze szczegółów tego misterjum. Nie zobaczymy nic z tego, co się będzie działo na tej prawdziwej scenie. Bo przecież największym tragizmem nas wszystkich, czytających, jest otrzymywanie cudu wizji twórczej z drugiej ręki, jako już amalgamatu „chcę“ i „mogę“ autora. I jakaż siła mogłaby pozwolić nam przeniknąć w sekretną głęb nienarodzonej jeszcze tajemnicy?

To upojenie, ten zawrót głowy — ukorzenie się przed szczęściem własnej potęgi twórczej—moglibyśmy uważać za akord, zamykający rozpatrywany cykl. Rzadko znajdziemy, na dalszym nawet dystansie twórczym, podobnie czysty wyraz tej potęgi. To też podobna chwila już się nie powtórzy—raz jeszcze tylko spotkamy w „Modlitwie o wybawienie od wierszy“ już nie kulminacyjny punkt upojenia tą potęgą, ale przechylenie jej na stronę wręcz przeciwną. Dolegliwość intensywności twórczego procesu przejdzie w obawę przed zbyt mocnym wstrząsem, tak łatwo mogącem uszkodzić delikatną tkanę wrażliwości.

Jest to jakgdyby głos samozachowawczego instynktu, każącego zająć miejsce dalej od symfonii świata:

Kochany, dobry Boże, wybaw mnie, proszę, od wierszy,  
Wciąż płyną, płyną strumieniem, a strumień jest co-  
[raz szerszy.

Niech ich nie widzę, nie czuję, niech ich zupełnie  
[nie słyszę.

Spuść na mnie słodką, błękitną, nic nie mówiącą ciszę,  
Lecz, by nie było mi smutno, pozwól promienną swą  
[myślą.

Niech mi się czasem w nocy w snach kolorowych  
[przyśnią.

Raz jeszcze mamy tu wyrażoną prośbę o pomiarkowanie wiatru do wełny, o przeniesienie bezpośrednich, twórczych krwawień duszy w dalszą, za mgłą schowaną, dziedzinę snów. Stałyby się tam one radością łatwą i czystą, za którą nie potrzeba płacić znojem przeżyć.

Bo za wszystko, przecież, nawet za radość twórczą płaci się siłami.

d. c. n.

\* \* \*





FELICJA KRUSZEWSKA

## OBIAD

Słońce zalewa kuchenkę,  
ogień pod płytą coś gada,  
mruży wciąż woda w imbryku  
cichą piosenkę obiadu.

Stała matka w jasności,  
w pełni złotego promyka,  
bierze rondelki w ręce  
a własnym sercem dotyka.

Stała matka troskliwa  
(a w garnku wzbiera już burza)  
sól, mięso, jarzyny pachnące  
we wnętrzu garnka zanurza.

Ten barszczyk, tłuszczem złotym  
mieniący się aksamitnie,  
rumieńcem, ślicznym rumieńcem  
na twarzy córki zakwitnie.



Ten barszcz, tak myśli matka,  
(już burzę w garnku przeczula),  
zaszumi pieśnią radosną  
w syna stalowych muskułach.

Ten barszczyk w parze srebrzystej,  
nad wszystko ważny i drogi,  
obejmie ciepłem najmiększym  
mężowe zziębnięte nogi.

I patrzy matka z uśmiechem,  
a uśmiech wzięła od słońca,  
jak w złotym wnętrzu garnuszka  
wzdyma się czerwień gorąca.

I kładzie w rondle miedziane,  
w imbryki coraz to szersze  
tyle miłości i troski,  
ile się wkłada w wiersze.

Załączona fotografia, którą autorka „Snu” przypadkowo zobaczyła w naszej redakcji, stała się bodźcem twórczym dla poetki. Pod wrażeniem tego obrazka powstała perłka liryzmu, którą podajemy naszym Czytelniczkom, łącznie ze zdjęciem, stanowiącym w danym wypadku ciekawy przyczynek do psychologii twórczości.

## SEMINARJUM PRZY OTWARTYCH OKNACH

Małe zielone listki i bladorożowe niebo —  
Trochę cichutkiej radości — niczego już więcej nie trzeba.

Ptaki krzyczące za oknem gorliwie, wysoko i cienko,  
dzwoniące rozsypywaną i znów zbieraną piosenką.

Trochę mokrego wiatru, dużo miękkiego powietrza  
I nieba różowa bladość z każdą wciąż chwilą bledsza —

Trochę cichutkiej radości, dużo dobrego spokoju —  
smak wiosny ostry i słodki w palącym, chłodnym napoju.

## CHŁODNY MAJ

Liście nie chciały rosnąć, nie chciały być wcale zielone.  
Wiatr pytał o coś z krzykiem, biegł ciągle w jedną stronę,

Za ręce chwycił drzewa, łamał je z suchym trzaskiem,  
po dachach grzmocił gradem, w okna szturmował piaskiem.

Słońce ze smutku wystygło. Biegały po niem chmury  
szare i aksamitne, jak wielkie mokre szczury.

Ziemia nie chciała nic wiedzieć, miała starganą trawę.  
Wieczorem niebo było blaszane, wzdęte i rdzawe.

Czeremcha chciała rozkwitnąć, poczuła, że nie może,  
uczula w korzeniach ołów, w gałęziach wszczepione noże.

I oszalała zupełnie — mokra, zziębnięta, żałosna,  
darła gałązki, szlochając: gdzie wiosna? gdzie wiosna? gdzie  
[wiosna?



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

3

## MOTYW KSIĘŻYCA

Nowela

Dopiero, gdy Selene wjechała na granatowe sklepienie niebios, gwiazdy wyscielły jej usługę mleczną drogę, a krzywoniogie cielice, kierowane ręką bogini, pędziły po wklęsłości nieba, odmierzając czas długiej nocy. Wtedy to rozjaśniły się źrenice ludzi opalizującym błękitem. Wtedy ścisnęły się usta rozzumnym milczeniem.

Lecz oto ledwie przebył swoją półkolistą drogę, srebrnym kurzem prószący rydwan księżycowej bogini, ledwie potoczył się za śnieżny szczyt Killeny, — gdy na czerwieni nabięły zrab nieba wtargnęły złotogrzywe rumaki Heljosa. Sypnął się żar słoneczny zpod rozigranych kopyt. Rozwarły się usta ludzi, zarechotał gwar mowy. Logos napełnił świat dźwiękiem. Rozśpiewała się pieśń pasterska gadatliwa, wszystko-wiedna, w rytm wiążąca barwę gór i rzek, łąk i nieba.

I stało się, że gdy Heljos gonił po błękicie, wzniciając tumany wielobarwnych chmur, wszystko było jawne w złotych promieniach słońca. Tylko w szczelinach gór, dokąd nie sięgła władza słonecznego boga, w świecie wieczystych cieniów huczał bełkot myśli, nieujętej w formę.

Natomiast blade oblicze Seleny nakazywało milczenie. I wtedy, gdy tylko rąbek jej policzka ukazywał się wstydliwie. I wtedy, gdy pełnią spłynęła tajemnicza światłość na zbocza gór, na doliny, na wody, umykające pośpiesznie.

Stała odtąd granica różanego świtu i granica spłowiących zmierzchów między słowem, a milczeniem, między jawą a tajemnicą.

Hipolit przypomniał ochrypły szept młodego uczonego niemieckiego Vogelsburga. Głos jego brzmiał szaleństwem i pokusą. A fantastyczne mity, które tworzył, były, jak zwid senny: sugestjonowały i dręczyły niepokoje.

Asfalt w alejach Tiergartenu lśnił, jak woda, wciągając w swoją złudną głębinę zarysy drzew. Obaj z Janem brali w środek uczonego przyjaciela i słuchali jego poetyczno-naukowych wynurzeń. Daleko za nimi, zprawa i zlewa huczał Berlin, jak gradowa chmura. Księżyc przemykał się między drzewami. Wypływał wreszcie na pełne niebo. W alei szeleścił opieszale krok spacerowiczów. Tajemniczy woal mgławego światła spływał wiotką kurtyną i skracał perspektywę w dal rzuconej alei. Trzej młodzieńcy, nasiakając seledynową poświatą, milkli. Wilgotnymi dłońmi pieściła ich wargi srebrnowłosa Selene.

I wtedy to Hipolit w przepastnych głębiach swojej duszy kuł moc kamiennego milczenia.

Wybierał słowa drogie i ważne.

Wybierał słowa złe i okrutne.

Wybierał czyny wstydlive i wielkie.

Wybierał czyny przerażające i bezwstydnne.

Przymykał nagłucho wieko tajemnicy.

— Tobie w ofierze, Selene.

— Tobie, w zielonawo-srebrnej wodzie kąpana.

— Ofiara z zabitego słowa. Pozbawiony głosu

Logos leży u twoich stóp...

Hipolit otworzył oczy. I tak już najawie, w mrocznym świetle lampy wytłumaczył sobie w trzeźwym podsumowaniu krótkiej zadumy:

— Selene strzeże mojej tajemnicy.

A spostrzegłszy Andrzeja, który się nudził na progu, powiedział:

— Zostajesz. Mateusz pouczy cię o wszystkim.

## III

Nie ustały jednak obserwacyjne studia Hipolita nad Andrzejem.

Za dnia zadziwił go żółty, niezdrowy kolor jego cery i sine cienie wokół oczu. Powieki chłopca były ciężkie, powleczone jakby szklaną emalją. Jego płynne ruchy wiosłowały w przestrzeni, zagarniając każdą robotę w szerokie objęcia ramion, w płaszącą zabawę zręcznych rąk. Była jakaś niepospolitosc w jego krzątaniu się wokół wszelakich spraw lokajskich i służebnych.

Hipolit nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Andrzej przypomina mu kogoś. Męczyło go to i niecierpliwilo. Usposabiało prawie nieprzychylnie do chłopca.

— Jest duży i ciężki, a chodzi lekko, jak dziewczyna.

— Ma głupi uśmiech wiejskiego pustaka, a oczy jego są niepokojące.

— Mówi cicho i bezdźwięcznie.

Hipolit stwierdził wreszcie, że Andrzej jest zbiorowiskiem kontrastów. Kłóci się w nim wszystko pokolei.

— Jak się to razem trzyma?

Pytał o to Marję, którą odwiedził już następnego dnia.

— To bardzo inteligentny chłopak — odpowiedziała — i nawet dość dużo umie. Oczytany.

— Czy nie zawiele na lokaja?

— Nie jest zarozumiały. Ma dobre serce. Pomów z nim, zobaczysz, jaki poczyty.

Wistocie nie miał Hipolit powodu do niezadowolonia. Andrzej spełniał swoje obowiązki wzorowo

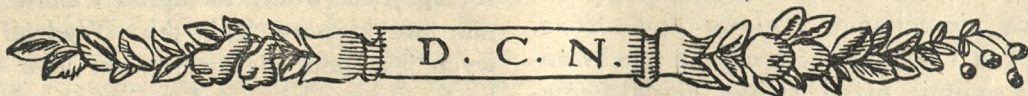
A jednak, ilekroć go widział Hipolit, przepływał mu po skórze niby chłodny wiaterek. Hipolit zauważył nawet, że wyczuwa zbliżanie się Andrzeja o parę minut naprzód. Przez mózg przebiega wtedy niby ostra linja, a w sercu zakreśla się wykrzyknik: idzie!

Było to nieprzyjemne i przeszkadzało. Zalesie miało, bowiem, być spokojem, ciszą, uśmiechniętem zadowoleniem. Miało głaskać dobrą ręką i szeptać słodkim głosem. Hipolit chciał tu spędzić kilka miesięcy, może nawet rok i leczyć nerwy po latach manjackiego globtroterstwa.

W Zalesiu wszystko szło gładko, miarowo. Dzwonek na stajni ogłaszał południe i dzielił dzień na dwie połowy. Gwizdek nocnego stróża opiekował się spokojnym snem. Park romantyzował. Pochyła ścieżka

słała się pod nogi i wiodła do stawu. Woda śniła swój sen. Opierała się niespokojnemu bulgotowi ryb. Liście lilji wodnej przywierały sztywno i płasko, jak zielone gliniane spodeczki. Niebo miewało swoje nieszkodliwe fantazje. Najmilsze było pod wieczór, gdy chmury krzepły w deseń, a kolory zmieniały się co sekunda. Błady księżyc był wtedy, jak skrawek przezroczystej, zmiętej bibułki. A słońce zapadało dumnie za widnokrąg, wyjaskrawiając się, jak wielka, czerwona reklama świetlna.

Z ludźmi można było rozmawiać, gdy się miało ochotę. A można też było milczeć od rana do wieczora. Książki również nie chciały się okazać zbyt natrętne. Czekały cierpliwie na swoją godzinę, na krążek światła pod żółtym abażurem, na oczy, które szybko poddawały się sennemu mruganiu powiek.



J. CONRAD

8

## PLANTATOR Z MALATY

*Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej*

Podziwiał jej głos, równie harmonijny, jak ruchy i postać. On sam zazwyczaj miał spokojny sposób bycia, lecz potęga jej czaru do tego stopnia wyprawiała go z równowagi, że tylko z ogromnym wysiłkiem woli mógł zachować zwykły spokój. Wracał od niej na swój żaglowiec — wstrząśnięty do głębi, wyczerpany, złamany, jak po wyrafinowanych torturach. Gdy się zbliżała do niego, miewał jakby chwilę halucynacji. Wydawała mu się istotą mglistą i świetlaną, stworzoną poto, aby żyć przy dźwiękach niewidzialnej muzyki, wśród szumu strumyka, w cieniu miłości. Po pewnym czasie, nie mogąc wciąż patrzeć w ziemię, skupiał całą siłę woli i podnosił wzrok na nią. W przejrzystym mroku w jej oczach płonęły iskry; gdy spoglądała na Renouard'a, życie nabierało dla niego nowego znaczenia. Myślał sobie, że inny umysł zamieniłby się już oddawna na popiół w tym blasku, nimby znalazł szczęśliwe wyzwolenie w szaleństwie. Lecz jemu to się nie uda: wyniósł zdrowe zmysły z pod gorących promieni słońca, palących, jak piec gorejący, przez upalne pustynie, z płomiennej zawziętości na ludzką słabość i zpośród zażartego okrucieństwa nieprzyjaznej natury.

Będąc przy zdrowych zmysłach, miał się ciągle na baczności; nie chciał, bowiem, wpaść w milczące zachwycenie, lub wybuchnąć gorącymi słowami; musiał więc pilnować swych oczu, rąk i nóg, nawet

muskułów twarzy. Rozmowa ich była taką, jaka może być między dwojgiem tego rodzaju ludzi: ona, młoda panna, która przybyła wprost z ciężkiej atmosfery czteromiljonowego miasta, po kilku sezonach sztucznego londyńskiego życia; on, zaś, odkrywca, o ściśle określonym celu, przywykły do szerokich horyzontów, trzymający się zdala nawet w chwilach spoczynku od tych skupień jednostek ludzkich, wśród których, nawet we własnych oczach, zatracą się swą osobistą wartość. Nie umieli używać zdawkowej monety rozmów, musieli się posługiwać ogólnikami, którymi wyrażali się w sposób pospolity; nie były to rozmowy poważne, może ona nie umiała ich prowadzić, w każdym razie nie powiedziała nigdy nic znaczącego. Świat zewnętrzny nie wywierał na nią jakiegoś specjalnego, indywidualnego wrażenia, któreby się różniło od wrażeń innych kobiet. Czarowała swym spokojem, powagą postawy, niezawodnie olśniewającym wdziękiem kobiecości. Nie wiedział, co się kryje pod tem białem czołem, tak cudnie wyrzeźbionem, pod płonącą koroną włosów, nie umiałby powiedzieć, co ona myśli, co czuje. Odpowiadała z namysłem, zawsze po chwili krótkiego milczenia, w czasie którego niespokojnie zawisał u jej warg. Czuł, że znajduje się w obecności tajemniczej istoty, przez którą przemawia głos nieznany, jak głos wyroczni, przynosząc sercu wieczny niepokój.

Zadowolony był, że może siedzieć, milcząc, z zębami zaciśniętymi, pozerany przez zazdrość — i nikt nie domyślał się nawet, ile było stoickiego wysiłku w jego zrównoważonym stosunku do tych starych ludzi, nikt nie wiedział, że człowiek ten skupiał całą uwagę na własnych mękach, nie chcąc pozwolić, aby go siły opuściły. Tak, jak dawniej, gdy zmagał się z siłami natury, tak i teraz był gotów na wszystko, tylko nie do ucieczki.

Może z powodu braku tematu do rozmowy, interesującego ich oboje, panna Moorsom nieraz kazała mu opowiadać o swem życiu. Nie odmawiał nigdy, gdyż wolnym był od rozgoryczonej, onieśmiałej próżności, która zamyka tyle zarozumiałych ust. Opowiadał cichym głosem, patrząc na koniec jej trzewika i myśląc o tem, że bliski jest moment, gdy ją znudzi. Rzuciwszy na nią ukradkowe spojrzenie, widział ją siedzącą nieruchomo z głową opuszczoną, olśniewająco piękną i doskonałą, z oczami niepewnymi, wpatrzonemi smutnie przed siebie, myślał wówczas, że podobną jest do jakiejś tragicznej Wenus, powstającej nie z piany morskiej, lecz z dalekiej, bardziej niż morze nieuchwytniej, tajemniczej, potężnej i ogromnej ludzkości.

V

Pewnego popołudnia Renouard, wyszedłszy na taras, nie zastał tam nikogo. Było to dla niego jednocześnie smutnem rozczarowaniem i bolesną ulgą.

Upał był wielki i powietrze spokojne; wszystkie okna w domu stały otworem. Na drugim końcu tarasu krzesła, ustawione w towarzyską grupę dokoła stolika do roboty, robiły wrażenie zajętych przez rozmawiające ze sobą niewidzialne cienie. Nikły i słaby dźwięk rozmowy, płynącej z pokoi, powiększał to złudzenie. Renouard, przyjrząwszy się im z pewną trwogą, zatrzymał się, niepewny, i oparł się o kamienną balustradę w pobliżu masywnego wazonu z podzwrotnikową rośliną dziwnego kształtu. Profesor Moorsom, powróciwszy z ogrodu z książką i białym parasolem nad gołą głową, zastał go tam jeszcze. Zamknąwszy parasol, oparł się obok niego i zwrócił mu uwagę na wzrastający w tej porze roku upał. Renouard przytaknął i poruszył się zlekka. Profesor po krótkim milczeniu rzucił niespodziewane zapytanie, które, jak uderzenie maczugi, pozbawiło Renouard'a mowy, a nawet myśli; zapytanie to, nadzwyczaj proste, lecz bardziej okrutne od uderzenia, napełniło go obawą, nie śmierci, lecz nieskończonych udręczeń.

— Musimy się wkrótce na coś zdecydować. Nie możemy pozostawać ciągle w takim zawiesz-

niu. Niech mi pan powie, czy pan myśli, że nasza wyprawa się powiedzie?

Oniemiały Renouard, uśmiechnął się blade. Profesor wyznał mu żartobliwie, jak pragnie nareszcie objechać dookoła cały świat, aby raz z tem skończyć. Nie mogą przecież w nieskończoność korzystać z gościnności tych kochanych Dunster'ów. Profesor miał zresztą przed sobą ważne sprawy: obiecał w Paryżu wygłosić szereg odczytów.

Renouard nie wiedział, że odczyty profesora Moorsoma były ważnem zdarzeniem dla całej Europy i gromadziły najwytworniejszą publiczność. Wrażenie zrobiła na nim jedynie wzmianka o wyjeździe, groźba rozstania uderzyła w niego, jak piorun. Odczuwał brak logiki w tem wzruszeniu: czyż nie wiedział od szeregu dni, że wisi nad nim ciężka chmura? Profesor spojrzał wdół, na ogród i znów roztoczył przed nim swe kłopoty. Tak, tak. Wydział spraw uczuciowych jest pod kierownictwem jego córki, której nie brak pomocników, zgłaszających się na ochotnika, lecz o stronie praktycznej życia on musi myśleć sam bez niczyjej pomocy.

— Nie waham się mówić z panem o mych kłopotach, gdyż uważam pana za naszego przyjaciela, a zarazem człowieka, dalekiego od tych przeklętych wzniosłości.

— Co pan przez to rozumie?—szepnął Renouard

— Myślę, że pan jest zdolny do spokojnego sądu. Atmosfera jest tutaj nie do wytrzymania, wszyscy się poddali uczuciom. Może rozsądne zapatrywania pana mogłyby wpłynąć na...

— Pan pragnąłby, zapewne, aby panna Moorsom zaniechała poszukiwań?

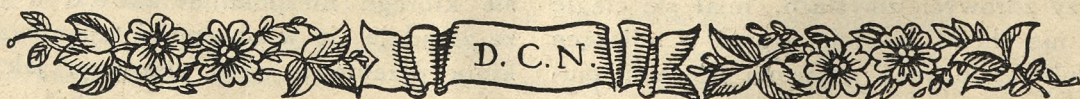
Profesor ze smutkiem zwrócił się ku młodemu człowiekowi:

— Bóg jeden wie, czego ja chcę.

Renouard, oparłszy się plecami o balustradę, skrzyżował ramiona na piersiach i zdawał się rozmyślać głęboko. Ocieniona łagodnie szerokim brzegiem panamy, twarz jego, o prostej linii nosa, łączącego się z czołem, o oczach, osadzonych głęboko, i brodzie, wysuniętej naprzód, o czysto zarysowanym profilu, przypominała twarz Minerwy, jaką się widuje pod grzebieniastym hełmem, wśród bronzów klasycznego muzeum.

— To jest najprzykrzejszy okres mego życia! — zawołał profesor z gniewem.

— Zapewne ten człowiek jest wart tego — szepnął Renouard, i zazdrość przeszyła jego pierś, jakby sam się przebił sztyletem.



# Kobieta w świecie i w domu

## OSZUKANE TURCZYNKI

Rzecz działa się w pewnej zapadłej dziurze, małej miścinie tureckiej, na wybrzeżach Azji Mniejszej. Życie w zakątku tym, zdala od szerokiego świata i jego pokus, płynęło cichym nurtem. Naraz, jak grom z jasnego nieba, spada na głowę burmistrza urzędowe zawiadomienie, że—według dekretu Kemal-Paszy—mężczyznom nie wolno już nosić fezów, turczynki zaś muszą nosić suknie europejskie, według ostatniej mody.

Jakie wrażenie wywołał rozkaz powyższy — nie trudno sobie wyobrazić. Oburzenie! Rozpacz! Przekleństwo! — Wszystko to jednak musiało ustąpić wobec wyrażnego i surowego rozporządzenia Kemal-Paszy. Wśród świata kobiecego cichej miściny rozpoczęły się gorączkowe przygotowania... niestety! nie wiedziano nic zgoła, jaka obecnie panuje moda w Europie? Żaden, bowiem, europejczyk nie zazierał prawie nigdy do tego ustronia.

Z pomocą swym obywatelkom przyszedł sam burmistrz. Przypomnił sobie, że w roku 1914, niedługo po wybuchu wojny, kiedy Turcja nie stanęła jeszcze po stronie mocarstw centralnych, — został zasekwestrowany przez władze miasteczka pewien okręt niemiecki, który zawitał do portu. Wszystkie paki, znajdujące się na statku, zostały zniesione do piwnic ratusza i tam spoczywały spokojnie. W kufrach tych znaleziono jakieś dziwaczne stroje kobiece, nikomu, w owe czasy, niepotrzebne gałganki. Teraz burmistrz rozkazał wynieść paki na światło dzienne — rozpakować, i, ubrawszy uprzednio najpiękniej, własną żonę i córy—resztę sukien europejskich wystawił na sprzedaż... Podniecenie i zaniepokojenie wśród mieszkanek małej tej miściny trwało dopóty, póki wszystkie turczynki, młode i stare, piękne i brzydkie nie zapatrzyły się w cudaczne stroje europejskie, mniemając, że są one ostatnim „krzykiem“ elegancji i smaku.

Nie przypuszczały, biedaczki, że nawet w roku 1914 ukazanie się w tych strojach w Europie wywołałoby wszędzie niemałą uciechę: Jakiś dom handlowy w Hamburgu zakupił w roku 1914 wielki zapas staromodnych płaszczy, sukien, kapeluszy, obuwia i wysłał to wszystko dla murzyńskich elegantek na wybrzeżach wschodniej Afryki.

Niedługo, więc, w cichem tureckim miasteczku panowała boska harmonja, zadowolenie powszechne i spokój. Fatum chciało, że jedna z najbogatszych obywaterek miejskich, tknięta jakimś przeczuciem—sprowadziła z Konstantynopola parę najświeższych żurnali damskich z roku 1926...

Piękne panie ujrzały z przerażeniem, że zostały oszukane.

Oszukane niecznie przez własnego burmistrza, który zrobił na tem wszystkim złoty interes.

Oburzenie obywaterek było tak wielkie, iż napadły w liczbie paruset na sklep burmistrza, zdemolowały magazyn, poszarpały w kawałki europejskie szaty, a samego niefortunnego właściciela potłukły rzetelnie.

Nie dość na tem — oznajmiły kategorycznie, że ponieważ nie wolno już teraz nosić sukien tureckich, a te, które nabyły, są niemodne — nie mają więc innego wyjścia i będą chodziły... nago.

Całe szczęście, że jeszcze było trochę za zimno.

Awantura ta zakończyła się najtragiczniej dla burmistrza—musiał, bowiem, zwrócić pieniądze, pobrane za suknie europejskie, i sprowadzić do miasteczka kilka krawców i modniarek, znających się naprawdę na ostatniej modzie europejskiej.

## NASZA RODACZKA. SKRZYWDZONA PRZEZ „UFA - FILM“

Cały Berlin poruszony jest wiadomością o skardze sądowej, jaką wniosła przez adwokata Handberga pani Wanda dr. Doebeke, przeciw znanej berlińskiej wytwórni kinematograficznej „Ufa - Film“.

Rodaczka nasza, której prawdziwe nazwisko jest Wanda Ursyn, złożyła przed pół rokiem firmie „Ufa“ swoją powieść kinematograficzną, pod godłem „Metropolis“, jako pracę konkursową.

Praca ta nie została wyróżnioną.

Naraz firma „Ufa“ przystąpiła do realizacji filmu „Metropolis“, bez porozumienia się z p. Doebeke, i zmieniła w kilku miejscach scenariusz.

Rodaczka nasza twierdzi, że zmiany owe, szczególnie w ostatnich dwóch aktach, paczą zupełnie treść scenariusza, a że firma „Ufa“ podpisała p. Doebeke pełnym nazwiskiem, autorka słusznie czuje się pokrzywdzona i żąda odszkodowania w sumie 50.000 marek niem. Wynik procesu p. Doebeke przeciw „Ufie“ oczekiwany jest z wzrastającą niecierpliwością.

Może sądy niemieckie zmuszą wreszcie wytwórnie berlińskie do zaprzestania samowolnych przeróbek powieści i scenariuszy.

## NAJBOGATSZA KOBIETA W JAPONJI

Wszystkie gazety cudzoziemskie przepełnione są ciekawymi artykułami o najpopularniejszej obecnie kobiecie w Japonji, znakomitej finansistce pani Jone Suzuki, która stała się przyczyną ostatniego kryzysu ministerjalnego w Tokio.

Poświęćmy tej dziwnej kobiecie też słów kilka.

Najciekawsze szczegóły o wybitnej emancypantce japońskiej podaje paryski „Matin“.

Do roku 1905 pani Suzuki była skromną i potulną żoną małego fabrykanta cukru i nie odróżniała się niczem od swych, zahukanych przez mężów, rodaczek, spędzając czas przeważnie w domu, przy gospodarstwie domowym. Lecz oto umiera Suzuki, pozostawiając żonie niewielki kapitał.

Młoda wdowa budzi się ze śpiączki kobiet japońskich i postanawia sama prowadzić nadal dystrybucję cukru z trzciny cukrowej.

Jej spryt niezwykły, inteligencja oraz zdolności organizacyjne — pozwalają jej powiększyć dziesięciokrotnie kapitał, oraz założyć w prędkim czasie trust, który objął prawie całą Japonję.

Jeszcze lat parę, i dzielna kobieta, o wyjątkowym zmyśle finansowym, staje na czele banku, fabryki wyrobów bawełnianych, warsztatów mechanicznych, towarzystwa żeglugi morskiej, i t. d., i t. d.

Podczas wojny europejskiej spekuluje na ryżu, na tym artykule pierwszej potrzeby w Japonji, a gdy ceny podskakują do góry — ściąga na swoją głowę oburzenie mas ludowych, manifestujących wrogo przeciwko najbogatszej kobiecie w Japonji (majątek jej wynosił wówczas 35.000.000 funtów szterlingów).

Oburzenie tłumu rośnie. Głodne rzesze otaczają gmach biura tej, która „okrada i głodzi naród“, demoluja zupełnie jej kancelarję, a ją samą zmuszają do uciezki. Pani Suzuki chroni się w swej posiadłości ziemskiej Szizuoki, lecz podniecone masy ściągają ją wszędzie. Musi uchodzić z pałacu swego, aby ratować życie.

Zaden hotel w Japonji nie chce udzielić jej przytułku, żadna restauracja — jedzenia, gdyż obawiano się zemsty wzburzonego tłumu. Miljonerka zmuszona jest zmienić swoje nazwisko i w skromnych sukniach chroni się w zapadłej wiosce japońskiej, gdzie przeczekuje burzę.

Pani Suzuki zanic nie chciała opuścić Japonji, nie zmieniła też swych poglądów konserwatywnych.

Pomimo, że korzystała z najnowszych postępów techniki — w życiu codziennem była skromną i cichą kobietą. Nie wysuwała się nigdy na czoło, nie prowadziła domu otwartego, mieszkała współżyjąc zaledwie ze szczupłą garstką osób, oddanych jej i zaprzyjawnionych z nią.



Pani Suzuki, japoński Stinnes

Po pracowitym dniu, po zawarciu milionowych tranzakcyj, po konferencjach, odbytych ze swymi dyrektorami — wracała do ciszy domowego ogniska, przebierała się w kimono i znnowo była dawną, skromną japończką, przykucniętą na macie, pijącą aromatyczną herbatę. Ostatnio — firma Suzuki znalazła się jednak w kłopotach płatniczych, które doprowadziły do tego, że należący do firmy Bank Formozy zbankrutował i zmuszony został zawiesić wypłaty.

Gdy najwyższa rada cesarstwa odmówiła przyjęcia z pomocą zachwianemu bankowi, cały gabinet podał się do dymisji, co pociągnęło za sobą kryzys tak ekonomiczny, jak i polityczny, pierwszy raz w historii Japonji spowodowany przez kobietę.

## EWOLUCJA RUCHU KOBIECEGO NA WSCHODZIE

„Przepowiedziano kiedyś, w starych księgach wschodnich, że wiek XX stanie się świadkiem panowania kobiety!“ — pisze Melle Geza Nabaraony w redagowanym przez siebie miesięczniku egipskim „L’Egyptienne\*“, i faktycznie, w każdym dniu nieomal możemy notować niezwykle sukcesy ruchu kobiecego, na całym niemal świecie.

Po Europie i Ameryce, przyszła kolej na Wschód, który dostarcza nam coraz to większych niespodzianek na tem polu.

W tych krajach emancypacja kobiet przejawia się z siłą niemal spontaniczną. Tembardziej trzeba się temu dziwić, że każdy, najmniejszy bodaj, przejaw ruchu kobiecego zwalczać tu musi wiekowe przesady, skostniałe tradycje, które przeciwstawiają się kobietom wschodnim na każdym nieomal kroku.

Oto niedawno cały świat cywilizowany został zadziwiony nagłem, błyskawicznym niemal, równouprawnieniem tureczki, po przyjęciu przez Turcję nowego kodeksu cywilnego.

Pomijając już kwestję prawa wyborczego, tureczki, zamknięte w haremie przez tyle, tyle stuleci, otrzymały naraz wszystkie przywileje i prawa swych sióstr z Zachodu.

W Egipcie — zmiany nie są tak rażące. Emancypacja kobiet egipskich postępuje wolno, krok za krokiem, gdyż nie posiada ani tak wyjątkowo sprzyjających warunków, jak w Turcji, ani wybitnych, energicznych jednostek, które stanęłyby na czele ruchu. Ogromny, jednak, zastęp dziewcząt egipskich dopuszczono już na studia do wyższych zakładów naukowych. Po Turcji i Egipcie — przyszła kolej na Persję, tak długo opierającą się prądom współczesnym.

Dziś, jedną z najdzielniejszych kobiet w Persji, jest Mine Żorah Heydary.

Wobec przestarzałych tradycyj persów, fakt uczestnictwa kobiety w życiu publicznem może być uważany za rewolucję w dziejach ruchu kobiecego.

Persja, kraj muzułmański, w którym nakazy religijne są przestrzegane z bezprzykładną surowością, a kobiety niemal do dnia wczorajszego były niewolnicami haremu — i oto, w kraju tym staje się cud w XX wieku: młoda i dzielna kobieta wywalcza nie tylko niepodległość osobistą, lecz zaczyna odgrywać niepoślednią rolę w życiu politycznem całego kraju. Zaiste, trudno o metamorfozę bardziej cudowną.

\*) „L’Egyptienne“ wychodzi w języku francuskim w Kairze.

Mine Zorah Heydary, urodzona w Persji, kształciła się w jednak w Europie. Dużo podróżowała. Poza granicami ojczyzny wychodzi zamaż za rosjanina i wraz z nim, więziona w Bolszewji, przechodzi wszystkie katusze i męki inteligencji, oddanej na pastwę dzikich instynktów.

Powraca wreszcie do kraju. Przywozi ze sobą gruntowną znajomość języków europejskich, wiedzę i zamiłowanie do pracy społecznej.

W ojczyźnie, dzięki wyjątkowym swym zaletom, otrzymuje bez wielkich trudności—stanowisko sekretarza Ministra Robót Publicznych. A dziś, jako członek parlamentu — zajmuje w dziejach historii Persji stanowisko wyjątkowe.

Należy dodać, że w Persji, jak zresztą we wszystkich krajach współczesnych, w okresie становienia o sobie, ruch kobiecy rozwinął się na podłożu ruchu narodowego.

W godzinach próby—ciężkiej i niebezpiecznej dla ojczyzny, kobieta perska nie omieszkała pokazać, czem jest. Jeszcze wczoraj izolowana zupełnie od życia politycznego swego kraju, jeszcze wczoraj zamknięta na cztery spusty w murach haremu, zakwefiona i bierna, w godzinie próby staje się obywatelką mężną, świadomą swych obowiązków względem zagrożonej matki ojczyzny.

Któż nie zna postawy kobiet perskich wobec parlamentu, który zdawał się już chwiać i ustępować pod naporem pogroźek Bolszewji.

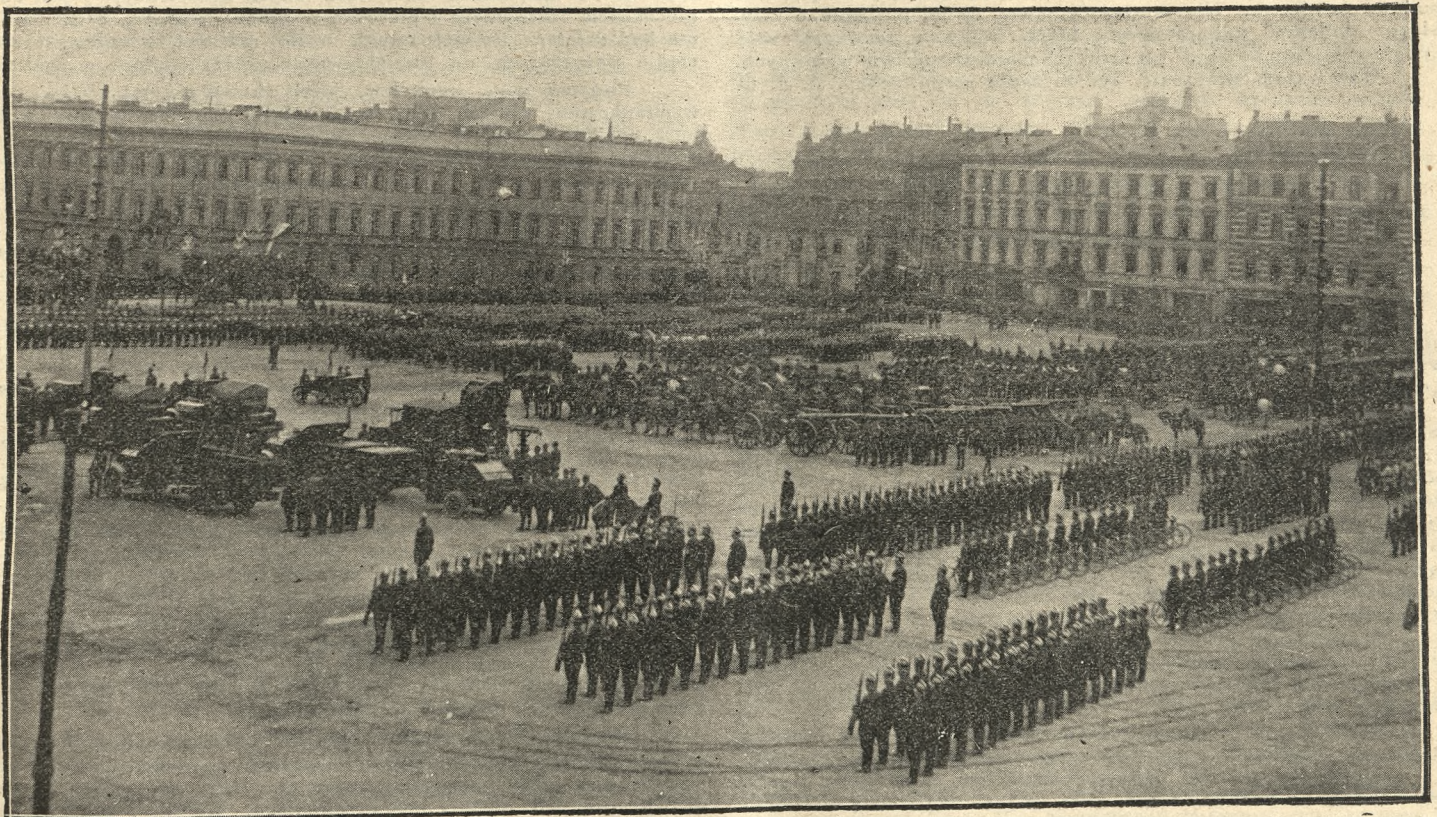
W liczbie kilkuset otaczają persjanki gmach parlamentu, zrzucają zasłony z twarzy, uzbrajają się we wszystko, co może stanowić broń, zdecydowane raczej ponieść śmierć, niż dopuścić deputowanych do podpisania ultimatum, które zagrażałoby wolności ich ojczyzny. Dzięki tej dzielnej, a nieoczekiwanej postawie



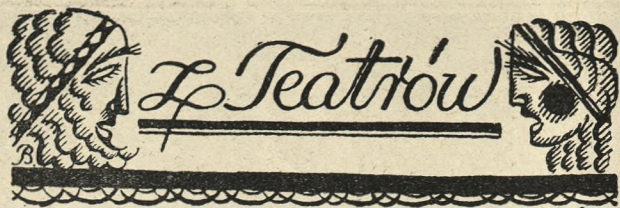
*Rewja w d. 3-cim maja na Placu Saskim: Prezydent Rzeczypospolitej p. Ignacy Mościcki podczas wykonywania hymnu narodowego*

kobiet perskich, parlament, aczkolwiek zbombardowany, nie skapitulował pod presją cudzoziemców-

Po tem wyjątkowem zachowaniu się kobiet perskich—czyż mogły one powrócić znów w cień i zapomnienie? Miłość dla ojczyzny zagrożonej, którą przejawiały tak gorąco i bezinteresownie, wywalczyła, zdaje się, już nazawsze dla nich u rodaków uznanie w nich równych sobie obywatelk.



*Trzeciego maja na placu Saskim. Ogólny widok rewji*



OPERETKA STOŁECZNA (Messal-Niewiarowska).

„Ewa” — operetka w 3-ach aktach z muzyką *Fr. Lehara*.

Przedwojenni bywalcy operetkowi muszą mieć prawdziwą ucztę artystyczną na przedstawieniu wznowionej operetki Lehara „Ewa”. Jest to dla nich zarazem ucztą wspomnień. Ach! te dobre czasy, kiedy Redo był bożyszczem wszystkich pensjonarek, a Messalka... Messalka nie miała ani na jeden włoszek więcej czaru, niż dzisiaj. Jest to chyba superlatyw komplementu, jaki można powiedzieć kobiecie. Artystce możemy wyrazić prawdziwe uznanie zato, że nie ustała w pracy nad doskonaleniem swych darów wrodzonych: głosu, urody, postawy, wdzięku.

Messalka należy do rzędu tych artystek, które ustawicznie czuwają nad sobą. Pamięta ona o tej nieomyślnej zasadzie, że połowa talentu — to praca — i ta czujność artystyczna, ta ciągła, surowa kontrola i zdolność samokrytycyzmu, pozwala jej utrzymać zdumiewającą świeżość głosu, gry i wyglądu.

Jako „Ewa”, młode, niedoświadczone, pełne temperamentu, ale czyste i szlachetne dziewczę robotnicze, Messalka czarowała wdziękiem zawsze młodej kobiecości. Dzielnie sekundowała jej Niewiarowska, łobuziak, niezmordowany w figlach i tańcu. Naturalnie zmodernizowano Ewę i wprowadzono do niej charlestona i rozmaite akrobatyczne łamańce, w których celuje Sempoliński, Redo był nieco ciężkawy, i głos mu chwilami niedopisywał, ale w walcu wirował, jak urodzony wiedeńczyk.

Całość wypadła sympatycznie. Nie brak było i sentymentalnej łezki i cieplejszego westchnienia. Jest to jedna z tych „moralnych” operetek, na które nawet przed wojną prowadzono młode panienki. Biedna dziewczyna, zwycięsko operująca się pokusom, szef, w roli niedoszłego uwodziciela, a potem rozkochanego i wiernego męża — to motywy tak wdzięczne, szczególnie, gdy je okrasici słodką melodią wiedeńskiego walcia!

Pocziwy walc! Ileż serc skruszył, ileż par skojarzył, i to zarówno nad błękitnym Dunajem, jak nad szarą Wisłą!

Publiczność wychodziła z teatru, pijąc pełną piersią jędrne majowe powietrze. Nie zauważyła nawet, że jej poskąpiono zwykłego „dodatku” kabaretowego, który odgrywa zazwyczaj rolę „pogotowia ratunkowego” po sztukach mniej szczęśliwie wybranych.

Tym razem, przynajmniej, był on zgoła niepotrzebny. *S. P. O.*

Z FILMÓW

KINO-TEATR APOLLO

Księżna Gdańska.

Jest to przesłiczna francuska (oczywiście) historia o biednej pracce, która została księżną, i o perypetjach, jakie wynikły z tego wywyższenia dla niej i dla jej pocziwego małżonka marszałka Lefebrea.

Na czoło gry wysuwa się przedewszystkiem Glorja Svansonh, jako doskonała „Madame Sans-Gêne”. Jej rozkoszna minoderja dziewczyny z ludu, zarówno jak niezręczne posunięcia na śliskich posadzkach cesarskich salonów, są zrobione z tak wielką finezją, a momenty uczuciowe są tak głęboko przeżyte, że sama gra tej artystki stanowi już o wartości obrazu. O wiele słabszym jest Napoleon, który, szczególnie przy zbliżeniach, przypomina raczej niemieckiego kupca, niż „boga wojny”. Gra również dosyć bezbarwnie i zamało wykazuje siły i majestatu w mimice i gestykulacji.

Wspaniałość dekoracyjna i kostjumowa tego filmu zakrojona jest na ramy niemal amerykańskie, co z typowo francuskim, lekkim, a często nawet humorystycznym traktowaniem obrazu tworzy niesłychanie miłą całość.

Tylko scena rewolucyjna, szturm do Wersalu, ma w sobie stanowczo zamało siły i schodzi do rzędu mało wypukłego epizodu.

Obraz ten, jak na historję, pozbawioną wyraźnego węzła, jest zbudowany bardzo dobrze, tylko płacze się trochę w końcowych scenach przy nieporozumieniach z ambasadorem austriackim, grzesząc wadliwą kolejnością obrazów i zbyt wolnym tempem w momentach przełomowych.

Z KSIĄŻEK

Ewa Szelburg: „Dokąd”?

Biblioteka Belletrystyczna Tow. Wydawniczego I. Mortkowicz.

W pokoleniu nowych młodych powieściopisarzy p. Ewa Szelburg należy do najciekawszych indywidualności. Książka jej „Dokąd?” kompozycyjnie jeszcze nie sformowana, fabularnie nie zorganizowana, — posiada jednak zastanawiające wartości twórcze, które pozwalają zapomnieć o wszystkich brakach formy.

Temat i ujęcie posiadają charakter wizyjny. Książka opisuje przeżycia duszne świątkarza Szymona, który całą swoją pasję religijną wlał w rzeźbione figury świętych. Gdy więc przychodzi, po szeregu bolesnych przejść życiowych chwila zdawania rachunków samemu Bogu, kiedy przez bramę śmierci duch tego robotnika bożego ma wkroczyć do nieba, wszystkie postacie świętych, które sam tylekroć z bryły drzewnej wytaczał, naraz zagradzają tę duszy drogę do Boga. Więc tylko zapłacił nieudanej śmierci daninę schorowanego życia w postaci fali krwi, co mu się z gardła wylała, i życie zaczął od nowa, albo raczej wszedł w kolejną swego przeznaczenia. Staje się wędrowcem nieśmiertelnego człowieczeństwa. Człowiek, wieczny tułacz — jako symbol nieustającego ruchu. Koncepcja autorki sięga tu głębin filozofji życia. Cóż więc jest ostatecznie tego życia prawdziwym sensem? Samo życie. Wieczna akcja poprzez przestrzeń i czas, konsumująca wszelki realizm bytu na rzecz idei. Stosunek do rzeczywistości jest tu wybitnie platoński, Szymon idzie i idzie bez końca. Wszedł z granic ziemi i dalej bez wytchnienia maszeruje we wszechświat. Nieskończoność pochodzenia świątkarza jest tu miarą nieskończoności istnienia. Trudno jednak garnąć taką ideę w jej czystej abstrakcyjnej formie. Należało więc tę myśl przedstawić w innym ujęciu, trzeba było, mówiąc krótko, zrealizować koncepcję myślową w skomponowanej anegdocie życiowej. I tutaj siły nie dopisały młodej powieściopisarce. Im głębsze, im bardziej w swej głębokości mistyczne, pomyślenie narzuca się artyście, tem silniejsza staje się konieczność realnego zorganizowania tematu. Idealizm życia duchowego musi być mocno wsparty na twardym tego życia materializmie, inaczej, bowiem, pomyśl idzie sobie i ostatecznie rozplywa się w nieskończoność, nieuchwytny dla opanowania. Jedynie potężnie zarysowana granica życia, jego zmysłowa określoność może u nas wzbudzić pojęcie czy przecucie nieograniczoności. Bez względu więc na temat, czy nim będą naturalistyczne, czy mistyczne motywy życia, postulat realizmu formy, to znaczy wyrazistość konturu, wycinającego dany obraz egzystencji od tysiąca innych egzystencji — jest koniecznością zasadniczą i pierwszą w pracy twórczej, o ile utwór ma być dziełem trwałej sztuki, o ile ma być żywym, a nie ciągle pożyczanym od subiektywnych przeżyć autora — życiem.

Pod tym więc względem, jeżeli chodzi o kompozycję i ów wzmiankowany realizm formy całej książki — powieść p. Ewy Szelburg posiada poważne braki. Natomiast poszczególne fragmenty powieści uderzają siłą obrazów i oryginalnością ujęcia. Dwie wizje Szymona: jedna, o której wspominałem na początku, a druga, kiedy ów świątkarz widzi Chrystusa, który się poraz drugi zjawił na ziemi, zgity pod krzyżem — dowodzi wielkiej mocy wizjonerskiej autorki. Ten drugi obraz szczególnie kiedy Chrystus przechodzi drogą i widzi mnóstwo rozpiętych na krzyżach Chrystusów, i w rozpacz zaczyna się zastanawiać, który z tych stworzonych przez ludzi synów bożych jest prawdziwym Synem Bożym, i ostatecznie, nie mogąc strasznych tych wątpliwości rozstrzygnąć, sam się rozpina na krzyżu i wbija go w ziemię wpobok innych figur — obraz ten, powtarzam, jest wręcz kapitalny i bardzo wiele zapowiadający na twórczą przyszłość autorki.

Zamiłowanie p. Szelburg do organizowania życia artystycznego w sferze napół mistycznego i napół fantastycznego nadrealizmu jest ciekawym przyczynkiem w obliczu powszechnie dziś panującego głodu konkretności. Pani Szelburg wyborem tematów pozornie zdaje się oddalać od tej kategorii przeżyć, ale w gruncie rzeczy prędzej czy później zbliży się do bardziej realistycznego materiału pracy, który zagwarantuje większą trwałość jej mistycznym pomysłom. Konieczność ta pójdzie w parze z dojrzałością środków i techniki artystycznej. Wtedy ta zaznaczona konkretność wyrazu wystąpi, oczywiście, nie w charakterze samego tematu, ale w sposobie podejścia do niego, w t. zw. realizmie formy. W każdym razie, to, co p. Szelburg dała już w swej książce, dowodzi świeżości i twórczości jej talentu.

Do spotęgowania tego wrażenia przyczyniają się w dużej mierze również kreacje innych bohaterów powieści, jak ślepego księdza, oraz córki i wnuczki Szymona. Dziwność przeżyć tych dwóch ostatnich postaci jest przejmująca. Kobieta, którą zabija tragiczny, nienasycony głód miłości, narysowana z zasztyt przy- noszącą subtelnością, i mała dziewczynka ze swoimi doznaniem psychicznymi — działają wrzuszająco.

Leon Pomirowski.



## O KINIE

Aktorzy filmowi. Przed oczami bywalców i znawców kina staje długi szereg twarzy, postaci, w różnych kreacjach uwiecznionych sylwetek ludzkich, widzianych różnemi czasy na ekranie. Dla tych, co z kinem mało mają wspólnego, jest to nieznan, obcy i tajemniczy świat. Wiczyście pociągający wielu świat kulis i gry, wcielanie się w różne typy, podobnie, a odmiennie, niż w teatrze, tchnący nowością, echem bajecznej sławy i majątków gwiazd, jakimś urokiem bujnego życia, ciągłą metamorfozą, ruchem. Wszystko się zdaje łatwym, miłym i niepojętem, że tylko tak mało ludzi osiąga sławę wszechświatową, że nie zamienił się dotąd świat w jedną wielką wytwórną kinematograficzną. Ogromny odsetek ludzi uważa, że mogliby z powodzeniem grać do filmu, a kto wie, czy nie okazaliby się znakomitościami.

Pierwszą przeszkodą, o jaką się rozbijają dobre chęci amatorów, jest brak fotogeniczności. Zupełnie nowy wyraz, często niedobrze rozumiany. Fotogeniczność twarzy, lub postaci, cóż to jest? Nasuwają mi się dwa objaśnienia. Przedewszystkiem, fotogeniczną twarzą będzie twarz zdecydowana w wyrazie. Słodka kobieta główka, demoniczna, zła twarz męska, megera, dziecko, starzec, pocziwina i sto innych. Twarz, która mówi sama za siebie, z której od pierwszego spojrzenia określamy charakter osobnika. Toż samo dzieje się z całą sylwetką: można mieć fotogeniczną rękę, nogę, plecy. Ale to mało: wymaga się, aby twarz oddawała w sposób jasny i wyrazisty każde drgnienie duszy. Najmniejsze wrażenie, uczucie powinno się natychmiast z całą jasnością na niej odmalować. Jedno drgnienie powiek, brwi, skurcz ust, ruch palców, napięcie nogi, każdy szczegół postaci powinien wskazywać, co ona czuje, co myśli, zamierza. Z drugiej znowu strony, jako fotogeniczną twarz, głowę, można określić taką, która na fotografii uplastyczni się odpowiednio. Prostu malarskie zagadnienie, aby dobrze wyglądała, jednakowa w wyrazie en face i z profilu, obojętne—młoda, czy stara, piękna, czy brzydka. Aby nie było za wiele cieniów, jak i nie za wiele jasnych płaszczyzn.

W filmach amerykańskich uderza nas przepyszny dobór typów: do najpodrzedniejszych ról mamy tam wspaniałe postacie, nie mówiąc już o wielkich kreacjach. Nie płynie to tylko z zamożności wytwórni, ale też ze zrozumienia, że lepiej poszukać i odnaleźć osobnika „jakby stworzonego” do danej roli i umiejącego grać, niż zapomocą charakterystyki zmieniać maskę wciąż tego samego aktora, opatrzonego do niemożliwości. Przy takim poszukiwaniu „charakterystycznych” znaleziono niejedną późniejszą gwiazdę, o ile osoba, obdarzona cechami fotogeniczności, potrafiła też dobrze grać. Bo granie do filmu nie jest tak łatwe, jak się może zdawać, wymaga ogromnej pracy i cierpliwości.

Na scenie dramatycznej aktor rozporządza dwiema rzeczami: słowem i gestem. Ale najpierw słowem. Po zapoznaniu się ze sztuką, przyswajają sobie obraną rolę—typ, opanowuje wszystkie słowa, zdania dialogi i popiera je mimiką twarzy i postaci. W teatrze jest to ściśle zespolone jedno z drugim. Na scenie filmowej aktor ma tylko mimikę. Powinien nią tak władać, aby okazać wszystkie uczucia, a nie przeszarżować, nie być karykaturalnym. Na scenie aktor jest

zawsze w pewnej odległości od widza, na ekran robione są zdjęcia tuż przy głowie, tak zwane fragmenty, wymaga to niezmiernie subtelnego cieniowania gry twarzy i doskonałej charakterystyki. Dlatego trudno jest, aby aktor dramatyczny stał się gwiazdą ekranu. Oczywiście, są wyjątki, ale nader rzadkie. Gra jego zawsze będzie słabą zbyt świeżo ma on w pamięci scenę z mową. Raczej jest łatwiej przejść z filmu do teatru. Jest to najsłabszy punkt filmów polskich, posilkujących się do ostatnich prawie czasów siłami teatralnymi, gdy nie zawsze z wielkim nawiśkiem idzie w parze mistrzowska gra.

Od amerykańskich aktorek i aktorów filmowych wymaga się nie tylko umiejętności wyrazistej gry twarzy. Muszą oni być doskonale zbudowani, wygimnastykowani i obeznani z niejednym sportem. Film pełen ruchu i życia rzuca bohaterów w przeróżne sytuacje. Chcąc posiadać sympatję widzów i powodzenie filmu, trzeba wyjść cało ze wszystkich opresyj. Gra—gra, a umiejętność—umiejętnością. Nie da się „udać” dobrą konną jazdę, grę w tenisa, ani siłę fizyczną, czy zgrabny taniec. Trzeba te rzeczy umieć. Gdy wypadnie z roli posiadać znajomość jakiegoś sportu, aktor amerykański miesiącami będzie się ćwiczył, zanim nie dojdzie do perfekcji. Przykładów jest na to tysiące. Pamiętam film, w którym była rozegrana partja bilardu, przyczem jedna z bil miała wewnątrz nabój dynamitowy. Grający, nie wiedząc o tem, tak manipulował, że ani razu tej bili nie potrafił. Sądzę, że niejedną godzinę poświęcił przedtem na podobne ćwiczenia.

A wszelakie umiejętności, jak strzelanie, pływanie, rzucanie laso. Chcąc zagrać sztukę cyrkową, Chaplin od miesięcy ćwiczy się w swem atelier, przerobiwszy je na mały cyrk. Miesiące zmuśnej pracy fizycznej, zanim rola będzie gotowa. Tysięczne zniechęcenia, opanowywane siłą woli i przymusem kontraktu z wytwórnią.

Zaczynają się zdjęcia. W teatrze aktor żyje w „trzech ścianach”. Czwarta—to widownia. Przez parę godzin jest on w innym świecie: świecie sztuki, stworzonej przez autora. Wcielił się w pewną postać. Może być w rodzaju transu, którego przebieganie się i przerwy aktowe nie przerywają. Na scenie nie widzi braków tej czwartej ściany, jest przejęty grą. Nie jest to zupełnie ściśle. Dobry aktor nie zapomina nigdy, że jest na scenie i że gra. Wie, że patrzą nań tysiące oczu bez przerwy, analizując każdy jego ruch i słowo. Ale publiczność jest w pewnym oddaleniu, jest wielką siłą emocjonującą, ale nie wtrącającą się do jego gry.

Przy kręceniu filmu jest coś zupełnie innego. Gra się na tle jednej, dwóch, najwyżej trzech ścian. Rzadko bywa zrobione całe zamknięte wnętrze. A i wtedy, gdy się nie widzi wnętrza hali, pełnej złożonych dekoracji, uwijających się robotników i statystów, ma się przed sobą syczące reflektory jupiterów, ma się trzeszczące aparaty, operatorów, robiących zdjęcia, ma się reżysera, który krzyczy swoje uwagi, ma się kolegów, przygotowanych do następnych zdjęć. W tem piekle trzeba grać, przejąc się do głębi duszy (sceny tragiczne, uczuciowe), skupić w sobie, a każdy gest jest natychmiast zakrzyczany, lub pochwalony. Oto scena bólu matki, gdy otrzymuje wieść o śmierci dziecka. W oczach ma być rozpacz, ruchy sztywne, gdy upuszcza list, łzy zaczynają płynąć po twarzy, wargi wykrzywają się boleśnie. Reżyserowi coś się

nie podoba. Trzeba znów zaczynać. Trzeba przeżywać tę samą mękę powtórnie. Jakiś gest palców podobał się, należy go powtórzyć. Zbliżają aparaty, syczą jupitery. Zdjęcie zbliżka. W oślepiającym świetle płyną łzy po twarzy. Reżyser się cieszy. Jest to wiwisekcja.

Jakież nerwy muszą mieć ci, co przeżywają tysiące wzruszeń, powtarzanych, poprawianych w swym uzewnętrznieniu, co się na jedną chwilę wcielają w jaką rolę, fragment, aby wrócić do rzeczywistości i znów coś „przeżywać”. W Ameryce stosują przy zdjęciach muzykę, odpowiednią do nastroju sceny. Zapewne, jest to duża pomoc dla aktora, ale nie usuje ani aparatu, ani reflektora, ani reżysera.

Widz, siedzący w wygodnym fotelu, patrzący na przesuwane się na ekranie sceny, zapomina, że, aby mu je pokazać, musiano tam na miejscu robić zdjęcia. Sceny filmów historycznych, wizje, w rodzaju Nibelungów, dające takie świetne złudzenia, dla aktorów nie miały ani trochę uroku. Wszystko było dekoracją jeszcze prymitywniejszą, niż w teatrze, bo fragmentaryczną. Oto idą do kościoła wałami obronnymi postacie ponure. Zdjęcie, robione z dołu, sylwety na tle nieba, efekt ogromny. A idący widzą wokoło współczesne domy, szosę, tramwaj, aparat trzeszczy z boku. Żadnego złudzenia, a grać trzeba. Trzeba szalonej fantazji, wyobraźni i zdrowia. Nieraz ryzykuje się życiem. Podpisując kontrakt z wytwórnią, oddaje się jej w ręce całkowicie. Mogą kazać tonąć, palić się, spadać z konia, skakać z aeroplanu. Przed paru laty był w Ameryce głośny proces aktorki, która nie zgodziła się, by wąż, zresztą oswojony, owinał ją swymi splotami. Twierdziła, że przypłaci tę scenę życiem, gdyż ma wstręt do gadów. Ale wytwórnia tego nie uznała za powód do zerwania kontraktu.

Aktorzy muszą nieraz dokazywać cudów zręczności i odwagi. Niezawsze są tylko trücki kinowe. Czasem naprawdę rzeka niesie w spienionych falach ciało kobiety, gdy obrońca, trzymając się jedną ręką liny, uwiązanej przy brzegu, ratuje ją. Przykładów jest moc, udowodniających niebezpieczeństwo życia aktora filmowego. Ale największe trudności są tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy: w scenach przeżyć, w powiększanych fragmentach załamanych rąk, łez, czy bólu. We wszystkich scenach męki duszy i serca, robionych przy świadkach, krytykach, w hałasie atelier.

Zygmunt Knothé.

**K**TO LUBI MIEĆ W DOMU PIĘKNE KWIATY  
POWINNIEN NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

P. T.

## „ROŚLINY POKOJOWE”

KTÓRA UCZY PIELEGNOWANIA, PRZESADZANIA I ROZMNAŻANIA KWIATÓW.

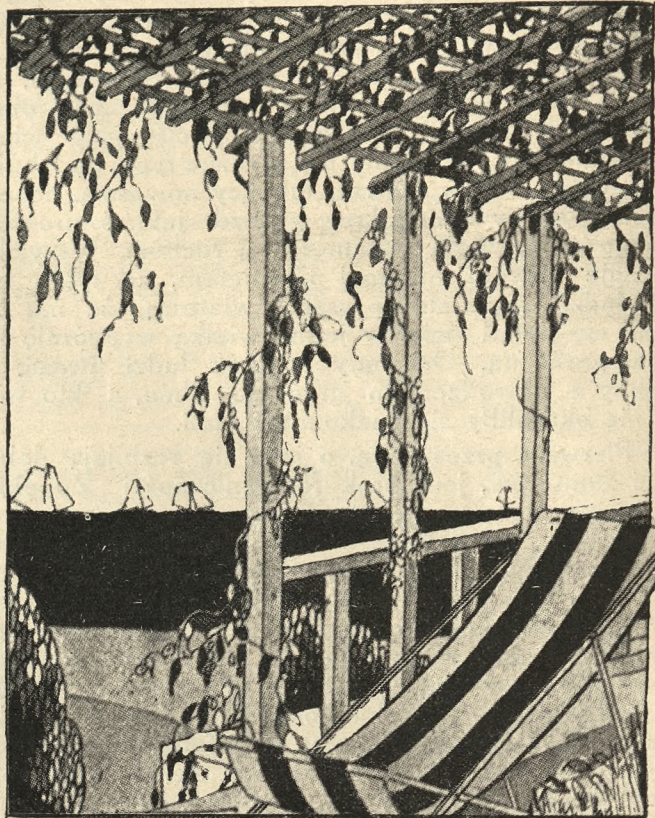
CENA 1 zł 50 gr.

Wysłała Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „BLUSZCZU” kosztów przesyłki nie liczymy.

ZA ZALICZENIEM NIE WYSYŁAMY.

## ALTANKI



rys. 1.

Dla użytku tych szczęśliwych, które posiadają najmniejszy chociaż skrawek ziemi, czy to nad morzem, czy też w szczerem polu, podaję tu kilka wzorów ślicznych altanek, które podziwiałam ubiegłego lata i których, przyznam się, zazdrościłam szczerze ich właścicielom. Obsadzone pnącem winem, urocze tworzyły schronienie przed żarem upalnego słońca i pozwalały podziwiać o każdej porze dnia mieniące się brylantami, wiecznie ruchliwe morze. Chcąc cieszyć się w lecie zielenią, trzeba pomyśleć o zasadzeniu jej na wiosnę. Najodpowiedniejszym jest dzikie wino: znosi każdy ostry klimat, rośnie prędko i nie potrzebuje dużych starań. Na jesieni mieni się bogatymi kolorami, tworząc malownicze zestawienie barw i cieni. Kto go jednak nie zasadził na jesieni, nie pora teraz myśleć o niem; trzeba będzie poprzestać na fasoli wielkokwiatowej, którą sadi się w drugiej połowie maja, lub na niebieskim powoju, cudownie oplatającym altanki.

Bardzo ładnym będzie również clematis, idący ze sztoprów, o drobnych, silnie pachnących białych kwiatach, prędko rozrastający się, a co najważniejsze trwałe.

Altanka Nr. 1, zrobiona z łątek drewnianych, malowanych na zielono, postawiona na wprost morza, obsadzona była dzikiem winem, które dach jej zasłaniało, zwieszając się w malowniczych festonach do ziemi.

W dole obsadzona była pnąciami różyczkami, o cudnej barwie i zapachu róż herbacianych. Altanka

Nr. 2, rodzaj tuneliku z łąt, malowanych na brązowo-obsadzona winem pachnącem, prowadzonem tak, że w górze formowało okrągły, zielony dach. Z obydwóch stron wejścia kępy pachnących kwiatów, naokoło wąskie obramowanie paskiem ładnie utrzymanego trawnika.

Altanka Nr. 3, najokazalsza ze wszystkich, zbudowana na podmurowaniu w kształcie kiosku, górowała nad poziomem.

Cztery schodki z obydwóch stron, zaopatrzone w balustradę z łątek w kratkę, stanowiły wejście do wnętrza. Ścianki i dach, również w kratkę, składały szkielet altanki, po którym wylły się w nieopisanem bogactwie pnące rośliny, poszywające dach wspinałym pokładem zieloności. Na podłodze z desek rozpostarta barwna mata dopełniała malowniczej całości. Wszystkie te altanki umeblowane były trzcinowemi mebelkami, leżakami i małemi stolikami. Zamiast dywanów, miękkie maty, i dużo, dużo kwiatów w wazonach, w koszykach zwieszających się u wejścia i po bokach.

Obsadzać altanki można, jak to mówiłam poza dzikiem i pachnącem winem, na które dłużej czekać potrzeba, jednorocznym powojem o niebieskich kielichach, albo fasolą wielkokwiatową o dużych, jak ponsowe motyle, kwiatach.

Bluszcz i róże pnące dadzą się również zastosować, a także i caprifolium, krzew o miłym zapachu, choć niebardzo efektowny. Nietylko nad morzem dadzą się zastosować takie altanki: w ogródkach przy willach i na letniskach wszędzie mile wyglądają i dużo dają przyjemności, byle tylko pomyśleć i wykonać zawczasu, dużo da się zrobić domowym przemysłem. Aby dać możność moim czytelniczkom przyozdobienia i umilenia letniego mieszkanka przytaczam tu garstkę wspomnień, a opis sposobu przybrania mebli, stołów i t. d., rafją — wszystko jak najoszczędniej, własną pracą, — niejednokrotnie podawałam w „Bluszczu“.



rys. 3.

Nie sztuka mieć rzecz piękną za drogie pieniądze, ale prawdziwa zasługa stworzyć ją własnym pomysłem i wykonać własnymi siłami. J. S.

## AMERYKAŃSKIE POGLĄDY NA SPRAWĘ ŻYWIENIA, JAKO NAJWAŻNIEJSZEGO DZIAŁU GOSPODARSTWA DOMOWEGO

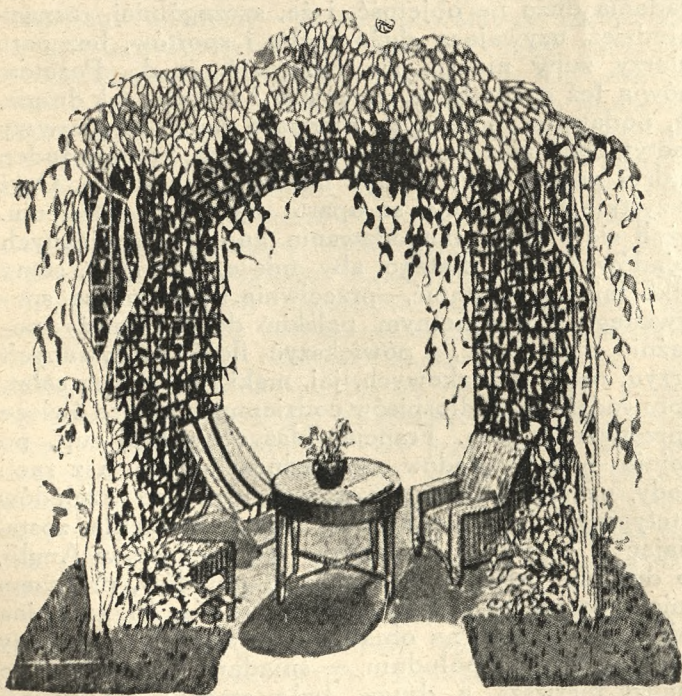
W dalszym ciągu litr mleka dziennie powinien być podstawą diety dziecka, ogółem, jednak, nie więcej należy podawać, gdyż trzeba zostawić miejsce dla innych pokarmów, a więc: dwie różnorodne kaszki, żółtko z jajka, pożądane surowe, z lekkim kakao, lub gotowane, rozsmarowane na chlebie; całe jajko (z białkiem) najwyżej 2 razy na tydzień. Poza tem jarzynki, gotowane na mleku, leguminy z mleka niezbyt słodkie. Należy dawać mało różnorodnych potraw, a zamiast cukierków — miód, sok z pomarańczy, owoce.

Aby zilustrować wytyczne dobrego i wadliwego żywienia, przytoczę przykłady, wzięte z mojej obserwacji w Polsce.

### 1. Menu dwuletniego dziecka:

9 rano: herbata z mlekiem, chleb z masłem i szynką, 12 w południe: rosół z kaszką, zrazy z kluszczkami i kartofelkami przysmażanymi. Naleśniki z konfiturami. Kawa czarna na spróbowanie. Wciągu dnia ciastka i cukierki od dobrych cioć i wujków. Na podwieczorek — po słodyczach — dziecko nie ma apetytu, a przy kolacji o godzinie 8 dziecko jest tak śpiące, że już jeść nie może.

Przypatrzmy się racjonalnemu menu dziecka w podobnych warunkach i w tymże wieku:



rys. 2.

7. 30 zrana: 3 łyżki soku z pomarańczy, lub jabłuszko pieczone z cukrem i sokiem z cytryny. Kaszka z mlekiem. Gorące mleko. Grzanka z masłem.

11-ta: Mleko z obwarzankiem, lub kawałkiem chleba.

2, 30: Obiad, składający się z jarzynowej, zupy np. z zielonego groszku z mlekiem, lub śmietaną, z grzankami. W drugim daniu z jajka, lub potrawy z jajek wraz z pieczonym kartoflem, lub inną jarzyną, ugotowaną w rosoli bez przypraw. Legumina mączna, z kaszki, lub coś z owoców surowych. W trakcie obiadu dziecko chętnie wypije sok z marchwi.

6-ta: Ryż, lub kaszka na mleku. Mleko do picia. Chleb z masłem. Jabłko pieczone. Surowizn lepiej nie dawać wieczorem.

O 7-ej spoczynek.

Odpoczynek w odpowiedniej porze, w przewietrzonym pokoju, słońce—są niezbędnymi czynnikami zdrowia dziecka, bez nich najlepiej uformowane przyzwyczajenia w zakresie żywienia nie są w stanie zadecydować o budowaniu normalnego odpornego organizmu.

Odżywianie w okresie lat 4—5—6—7 różni się głównie od szablonu wyżej wspomnianego zwiększoną ilością odpowiednich pokarmów. Wszystkie wprowadzone już potrawy z mleka, jaj, warzyw, kasz, zielonych warzyw, owoców, chleba, masła, powinny być w dalszym ciągu gotowane w najprostszy sposób. Im prostsze, nawet jednostajne, menu dziecka, tem lepsze.

Eksperymenty nad żywieniem dzieci dietą mięsną i bezmięsną wykazały, że te na jarskim menu, choć dostatecznie obfitującym w białko (mleko, jaja, fasole, kasze, twarożek) wykazywały mniejszą skłonność do gnilnego rozkładu białka, a więc różnych niedyspozycji żołądkowych i kiszkowych. Dziecko do lat 7, przyzwyczajone do mięsa, niechętnie jada mleczne potrawy, są one za mdłe dla niego, powoli mięso zastępuje miejsce mleka, znacznie bogatszego w minerały i witaminy, niż mięso. Rosoły również usuwają mleczne zupy z diety dziecka i, nie dając pożywienia, podniecają zbyt mocno organizm. Żadnych ostrych przypraw, smaku kawy, herbaty dziecko znać nie powinno.

Wiele nowych kwestyj, dotyczących żywienia dzieci, powstaje, gdy zaczynają chodzić do szkoły.

Z danych, jakie otrzymałam z badań nad wagą dzieci w wieku szkolnym, możnaby wysnuć wniosek, że niewielki % dzieci jest odżywiany normalnie, że część ich — poniżej przepisanej wagi — mało ma zmagazynowanej energii w tkankach ciała, przeważnie są chude, a wyciągnięte, lub też — powyżej przepisanej wagi — tłuste, nalane, ale o słabo rozwiniętych kościach i tkankach. Zainteresowanie się racjonalnym odżywianiem, higieną dzieci w wieku szkolnym przechodzi z zakresu publicystyki do zastosowania praktycznego.

W wielu szkołach są gorące drugie śniadania dla dzieci, opieka lekarska i dentystryczna. Wprowadzenie we wszystkich szkołach nauki gospodarstwa, higieny żywienia i dietetyki, konkursów na najlepsze prace samodzielne dzieci z zakresu układania budżetu, rozłożenia czasu w codziennym życiu—dopomoże wychowawcom dopełnić zadania.

Nie mając możliwości przedstawić czytelnikom w tak krótkim artykule całokształtu zagadnień, związanych z organizacją budżetu domowego, na zakoń-

czenie podaję szablon rozłożenia wydatków na poszczególne pokarmy. Aby w najekonomiczniejszej formie dostarczyć wszystkich potrzebnych pokarmów do naszego menu, należy przede wszystkim mniej brać tłuszczu do potraw i ogółem unormować ilość mięsa, ryb i jaj; a więc — zależnie od gustu, przyzwyczajzeń  $\frac{1}{6}$ — $\frac{1}{5}$  czy  $\frac{1}{4}$  całej sumy, przeznaczanej na żywienie, wydać na mięso, ryby, jaja, ale już stale trzymać się tej normy.

Naogół praktycznie jest podzielić sumę pieniędzy, przeznaczoną na jedzenie, na 5 części:  $\frac{1}{5}$ , lub mniej wydawać na mięso, ryby, jaja;  $\frac{1}{5}$  więcej, lub mniej—na warzywa i owoce;  $\frac{1}{5}$  lub więcej (zależnie od liczby dzieci) na mleko i ser;  $\frac{1}{5}$  lub więcej—na kasze, chleb, mąkę;  $\frac{1}{5}$  lub mniej—na tłuszcze, słodycze.

Chociaż zbyt drobiazgowo wnikanie w rachunkowość gospodarczą nie jest wskazane, jako niepraktyczne, przy pracy naszej — gospodyń-Polek — wszelkie poczynania około zaprowadzenia pewnego szablonu „wydawania na życie“ jest pracą pionierską, mogącą zaważyć wiele na szali wspólnych wysiłków dla organizowania naszego życia gospodarczego.

Marja Morzkowska.



## OBIADY BEZ ZUPY

Wciąż się o tem mówi, że zupy są mało pożywne, stosunkowo do reszty dań obiadowych, dużo wymagają czasu na ugotowanie, dla wielu nawet osób są szkodliwe, a zatem należy je wykreślić zupełnie z jadłospisów. Na to gospodynie podnoszą poważne obiekcje, z których najpoważniejszą jest ta, że w Polsce wszyscy mają duże apetyty, są przyzwyczajeni do zjadania dużo na objętość, i że, szczególnie, rosnąca młodzież, używająca dużo ruchu i sportów, bez paru talerzy zupy niczem się nakarmić nie da. Poza tem mówią też gospodynie, że mięso i ryby są tak drogie, że, podawane od razu na pierwsze danie, na pierwszy apetyt, będą zjadane w takich ilościach, których żaden budżet gospodarczy pokryć nie będzie w stanie. Otóż wszystkie te obiekcje są oparte na nieporozumieniu. Jeżeli się mówi o niepodawaniu zup do codziennych obiadów, to nie dlatego, aby mięso, lub ryba, same tylko miały je zastąpić,—przeciwnie, i ilość mięsa, spożywanego w przeciętnym polskim domu, należy poważnie zmniejszyć, a powiększyć ilość spożywanych jarzyn, roślin strączkowych, jaj, mąki i surowych sałat, wprowadzić do jadłospisów codziennych owoce świeże i przetwory z nich. Francja, klasyczny kraj zup, po wojnie — ze względów oszczędnościowych, a z racji mody, uznającej tylko szczupłe figury,—ze względów estetycznych—prawie zupełnie się ich wyrzekła, zostawiając je — jak to już dawno ma miejsce w Anglii, do dużych, proszonych przyjęć i obiadów, przyczem zmieniono nawet system odżywiania się. Przed wojną najwięcej jedzono na obiad, podawany tam pomiędzy szóstą, a ósmą popołudniu, — śniadanie drugie, jadane między pierwszą, a drugą, było stosunkowo lżejsze. Dzisiaj właśnie to drugie śniadanie jest posiłkiem podstawowym i składa się z dań: z jaj, mięsa, ryby, ja-

rzyny, sałaty i deseru, — obiad wieczorowy składa się z sałaty, jarzyny gorącej, owoców i sera. Widzimy, że rozmaitość jest ogromna i właśnie ta rozmaitość pozwala dobrze się odżywiać nie zjadając zbyt dużych ilości kosztownego, — we Francji dużo, niż u nas, kosztowniejszego — mięsa. Do obiadu liczy się tam sześćdziesiąt gramów mięsa i tyleż gramów ryby (naturalnie bez kości i ości), na osobę, — kiedy u nas kilo mięsa na cztery osoby (a zatem 250 gramów na osobę), niezawsze apetyty zaspokoić jest wstanie. Zupy z nowoczesnego „mènu“ francuskiego w domach prywatnych zupełnie znikły, pozostały w hotelach, pensjonatach — gdzie trzeba się stosować do wymagań „étrangers'ów“ i w obiadach proszonych, które z racji szczupłości mieszkań paryskich, są prawie jedyną formą przyjęcia w stolicy Francji, poza „jour'em“, który, naturalnie, ma każda szanująca się francuzka, ale na którym przyjęcia się ogranicza do filiżanki herbaty i bardzo niedużej ilości „petit-four'ów“ (herbatników).

Jeżeli tak dużo się rozpisałam o sposobie odżywiania się francuzów, — nawet pozornie odbiegając od tematu, to dlatego tylko, że lubimy się wzorować na cudzoziemcach, i że, właściwie, kuchnia francuska, — a jeszcze dawniej, w XVI wieku, kuchnia włoska za prawzór naszej kuchni służyły. Wtedy i we Francji żywiono się przeważnie mięsiwem tylko, zjadano całe ćwierci jeleni i dzików, nieskończone ilości drobiu, wyłącznie pieczonego, — przez perjod zup i sosów przeszli francuzi znacznie później dzisiaj uważają, że tylko urozmaicenie, wprowadzenie możliwie dużej ilości jarzyn, sałat i owoców, zapewniają siły, zdrowie i — możliwie smukłą sylwetkę kobietom — i mężczyznom, gdyż i ci panowie stworzenia są również dbali o swój wygląd i nie chcą w niczem ustępować swoim żonom co do „linji“.

Więc kiedy sobie postawimy zapytanie, jak u nas zmienić jadłospisy, aby były bardziej higieniczne, a głównie, czem zastąpić wyklinane przez lekarzy zupy, — a jednocześnie te radykalne zmiany przeprowadzić, nie głodząc naszych, przywykłych do dużych porcyj, domowników i nie nadwyrażając naszego skromnego budżetu, — zaproponowałabym zastosować się do wzorów włoskich. Zamiast zupy, możnaby obiad zaczynać od potrawy mącznej, — ich „risotto“ i setki rozmaitych „pasta asciengga“, co się tłumaczy: ciasto suche, czyli kluski, lub makaron. Rozmaite nasze kluski kartoflane, parzone, francuskie, rozmaite knedle i knedliki czeskie, łazanki i t. p. ze słoninką i z masłem, z grzybkami i z sosem pomidorowym — mogłyby dać ogromny wybór gospodyniom. Oprócz dań mącznych, możnaby obiad zaczynać od bigosu z kapusty, grzybów duszonych, lub smażonych, kapusty faszzerowanej ryżem, zapiekanej pod bachamelem, wogóle od jakiegoś dania pożywnego, po którego spożyciu zmniejszyłby się nieco apetyt, i mniejszy kawałek smażonego, duszonego, lub pieczonego mięsa wystarczył zupełnie. Do tego mięsa, jako konieczny dodatek, powinna być jakaś jarzyna lżejsza, zależnie od sezonu, groszek lub marchewka, kalafjory lub szparagi, brukselka lub bulwa włoska, fasolka zielona lub szparagowa, nakoniec smażone kartofelki, purée z kartofli, lub grochu itp.

Jako druga jarzyna, koniecznie sałata, jako jedyna jarzyna, jaką przywykliśmy spożywać na surowo, — a tylko w surowych jarzynach są te, tak dzisiaj wychwalane, witaminy. Ponieważ sałaty zielone, niestety, u nas tylko przez pół roku są na rynku, a przynajmniej są w ilościach i po cenach, przystęp-

nych dla ogółu, resztę roku należy dawać kapustę kwaszoną, lub kapustę czerwoną, ogórki kwaszone, pomidory kwaszone, czyli wszelkie możliwe przystawki zimne roślinne, — borówki moczzone na surowo, jabłka moczzone i t. p. Ponieważ obiad zaczynaliśmy od dania mącznego, na leguminy mogłyby się raczej składać dania owocowe: kompoty zwykłe i kompoty w galarecie, tarteletki owocowe, kisielki owocowe, nakoniec wprost konfitury i „jamy“ z mlekiem, lub śmietanką, albo obłożone biskopcikami. Wiem, że mnie spotka ze strony gospodyń znów zarzut, że owoce mamy tylko od końca czerwca do października, że zimą są one niedostępne. Na to odpowiem, że na kompoty są wyborne owoce suszone, i susze nasze, może mniej ładne od amerykańskich, co do smaku w niczem im nie ustępują. Pozatem mamy już aparaty Wecka, wyrabiane w kraju, mamy słoje do nich fabryk krajowych, — wydatek na nabycie takich aparatów i takich słoje jest jednorazowy tylko, a przy pomocy ich można dom cały zaopatrzyć na rok cały w konserwy jarzynowe i owocowe. Ponieważ dzisiaj korzystam wciąż z przykładów zagranicznych, powiem, że niesympatyczne dla nas, ale niesłychanie praktyczne i oszczędne niemki całą zimę, codziennie dzieciom i mężom swoim konserwy z Weck'ów podają, uważając je za najtańsze dania, — należy tylko te zapasy szykować w sezonie, w czasie kiedy produkty te są najtańsze.

Pani Elżbieta.



### KOTLETY CIEŁĘCE PO WŁOSKU

Pół kilo cielęciny bez kości przepuścić dwa razy przez maszynkę, dodając poraz drugi dwie bułeczki (warszawianki) wagi około 100 gr., wymoczone w mleku lub wodzie, dodać łyżeczkę masła, duże jajko i wyrabiać doskonale, aż masa od ręki odstawać będzie. Dwadzieścia deka przeraśniętej, gotowanej szynki usiekać drobno, popieprzyć nieco. Z cielęciny formować cieniučne placuszki, rozmiaru spodka od filiżanki do herbaty, na każdy położyć łyżkę siekanej szynki, zwinąć mocno, uformować spory, zgrabny kotlet, utarzać w tartej bułeczce i usmażyć na rumiano na maśle, lub szmalcu. Do nich podać na jarzynę szpinak, groszek, purée kartoflane, lub też czysty, mocny sos pomidorowy.

### MOSTEK NADZIEWANY

Dobrze przyrządzony mostek daje wyborne pieczone, — niestety, wobec tego, że mostki są koszerne, wszystkie lepsze mostki skupują żydzi i rzadko ładny, tłusty mostek nabyć można. Mostek z dużego, tłustego cielęcina namoczyć na godzinę najwyżej, oddzie-

lic górną warstwę mięsa miękkiego od tego, co się znajduje na żebrach, nie przecinając jednak do końca. Przyrządzić farsz następujący: Łyżkę tłustego, solonego masła utrzeć z całym jajkiem, wsypać filiżankę bułki tartej i dużą garść zielonej pietruszki i takiegoż koperku, wlać filiżankę rosółu, lub mleka, utrzeć doskonale, posolić do smaku, dodać odrobinę pieprzu. Nadziać tem równo mostek, zaszyć grubemi nićmi, posolić przed samem pieczeniem. Posmarować masłem, ułożyć na brytfannie, podlać wodą, aby się narazie nie przypaliło. Piec dobrą godzinę, pokrajać wpoprzek według żeberk i podać z zieloną sałatą, przyprawioną śmietaną i koperkiem.

### JAJECZNICA ZE SZPARAGAMI

Nadzwyczaj łatwa do zrobienia, a jednak rzadko gdzie smacznie przyrządzana. Na pięć osób ugotować dwadzieścia deka miękkich, nie włóknistych szparagów, dodając do wody, oprócz soli, łyżeczkę cukru. Pokrajać w calową kostkę i ostudzić. Dziesięć jaj rozbić mocno w garnku; jeśli mamy dobrą, słodką śmietankę, dodać jej niedużą filiżankę, w braku śmietanki, użyć dobrego mleka, dodając do niego łyżeczkę od herbaty mąki, doskonale zmieszanej z mlekiem, osolić nieco. Na patelni, lub półmisku metalowym rozpuścić, lecz nie rumienić dużą łyżkę masła, (od ilości masła zależy smak jajecznicy) wylać na nie jaja, zostawić w spokoju aż od dołu kipieć zacznie, wtedy dodać szparagi i, nie mieszając całości, łyżką srebrną przewracać duże kawały jajecznicy, aż się cała zetnie. Podawać natychmiast. Odrobina mąki, dodana do mleka, nie zmieniając smaku jajecznicy, chroni ją przed odwodnieniem.

### KISIELEK Z RABARBARUM

Pół kilo łydyg rabarbarum oczyścić z włókien, rozgotować w litrze wody i przetrzeć przez sito, aby włókien nie było. Dolać tyle wody, aby było pięć szklanek płynu, wsypać szklanek cukru i trochę skórki cytrynowej dla zapachu, zagotować razem. Filiżankę mąki kartoflanej rozbić z zimną wodą, wlać we wrzący syrop, wybijać mocno łyżką, aż się stanie przezroczyste; przelać do formy, wylanej wodą i wysypanej cukrem. Gdy zastygnie, wyrzucić na półmisek. Oddzielnie podać cukier.

### KWAS CYTRYNOWY

Otrzeć kawałkami cukru skórkę z dwóch cytryn. Sześć cytryn wycisnąć doskonale na maszynie, nalać na nie wody, jeszcze raz wycisnąć na maszynie, rozpuścić w tem, cukier otarty o skórki. Wsypać pół kilo cukru, dolać tyle wody, aby razem było sześć litrów, rozpuścić w tem jedno deka drożdży. Do suchych, czystych butelek włożyć po dwa rodzenki sultańskie, nalać przygotowany płyn, pozostawiając na dwa palce niżej szyjki pustego miejsca, aby butelek nie porozrywało. Zakorkować, obwiązać szpagatem, lub drutem korki. Dwadzieścia cztery godziny trzymać kwas ten w temperaturze pokojowej, potem wynieść na chłód. Po trzech dniach już jest dobry do użycia. Tani, łatwy do zrobienia, musujący napój na dnie upalne.

*Pani Elżbieta*

## DOBRE RADY

Elegancja w miarę jest konieczną. Strzeżmy się jednak przesady; za nowe suknie. za świeżące lakierki, za jasne rękawiczki, za wielkie i za jaskrawe kwiaty, oznaczają zły gust i nadają pozór wystrojony. Nadmierne używanie pachnidła, zostawiające za sobą smugę zapachu, nasuwa myśli o stłuczonym flakonie perfum i dowodzi braku subtelności. Prawdziwie elegancka kobieta używa zawsze jednego, delikatnego, nie odurzającego zapachu, strzegąc się, przedewszystkiem, wszelkich mieszanin.

\* \* \*

Zmiana stosunków powojennych sprawiła, że w gospodarstwie dużo robimy dziś same. Chwalebny to zwyczaj i szcycić się nim trzeba, ale nie mówić o nim ciągle, jakby był czemś nadzwyczajnem. Pracujmy jaknajwięcej, ale nie uskarżajmy się bezustanku; codzienne zajęcia uważajmy za rzecz naturalną, a nie za bohaterski wysiłek.

## KORESPONDENCJE

**Pani Z. H.—Radomsko.** W numerze 9-tym „Bluszczu“ podaliśmy sposób liworyzowania, w numerze 10-tym—kilka ładnych deseni do tej roboty, pozatem, każdy drobny deseń do haftu ściąganiem pocztowym, lub angielskim, służyć może, jako wzór do liworyzacji. Podręcznik dotąd nie został wydany, i nie sądzę, żeby prędko się ukazał; jest to, bowiem, robota fantazyjna, ładna o tyle, o ile jest modna, i, prawdopodobnie, nie można jej wróżyć długo-trwałości.

**Pani W. W.—Tomaszów Lubelski.** Na 10 litrów wody, bierz się 1¼ litra szkła wodnego i oblewa tym roztworem przeznaczone na przechowanie jajka. Najlepiej przygotować półki z drutu, ustawiać jedne na drugich, a jaja układać ostrym końcem do dół. Skoro napełnimy niemi beczkę, specjalnie przygotowaną do tego użytku—nalewamy ją do pełna roztworem szkła wodnego. Tak zakonserwowane jajka przechować można bardzo długo; biorąc je do użytku, moczyć i myć z 15-ście minut.

**Pani E. C.—Gowidlino.** Niklowe naczynia czyści się tak, jak aluminiowe, „Czystolinem“, lub gliną. Można też wymyć wodą z mydłem łagodnem, broń Boże, nie używać sody. Czyszcząc nikiel, nie trzeć zbyt mocno, żeby go nie zetrzeć, bo często przedmioty kupowane, bywają tylko cienko niklem zwierzchu powleczone. Dla nadania połysku—po wymyciu natrzeć kredą ze spirytusem i wycierać, jak wyschnie, miękką flanelą, lub skórką irchową. Można też przetrzeć szmatką, lekko skropioną amonjakiem. Bardzo trudno będzie uprasować suknię aksamitną w całości, trzeba, bowiem, oczyszczony aksamit, wyciągnięty sztywno, odprasować, a następnie, gałgankiem jedwabnym czarnym, zwilżonym octem, dobranym w mniejszej części okowitą, wytrzeć najprzód lewą stronę, potem odwrócić, i zaledwie wilgotnym oczyścić powierzchnię. Prasować w powietrzu—do czego potrzeba 3 osób: dwie sztywno wyciągać muszą aksamit, trzecia prasuje nie naciskając, aby żelazko nie odznaczało się. Jeżeli czynność ta dobrze będzie zrobiona, aksamit nabierze świeżości, gumi i czarności, i będzie wyglądał, jak nowy.

**Pani K. K. W.** Czarne bawełniane pończochy trzeba sparyć mocno osolonym ukropem, następnie prać w rozgotowanym letniem mydle, dolewając na 2 pary łyżkę żółci wołowej. Po wypraniu, płókać w zimnej, twardej wodzie. Bardzo ważnem jest pamiętać, aby maglować czarne pończochy w kawałku czarnym, inaczej, bowiem, obejdą białym meszkiem, którego szczyścić nie można. Czarne jedwabne pończochy pierze się w wystudzonym odwarze z wygotowanych listków i gałązek bluszczowych bez mydła, które zastąpią w zupełności właściwości rośliny. Nie trzeć, ale wyciskać w rękach, suszyć rozłożone między prześcieradłami i prasować przez płótno zaraz po przewiednięciu.

**Pani A. K.—Grabów.** Nie jesteśmy w możności spełnić życzenia Sz. Pani, podajemy zatem adres, gdzie Pani dostanie osobę jakiej potrzebuje: Warszawa, Mazowiecka 11, Biuro pośrednictwa pracy Towarzystwa Ochrony Kobiet. Zechce Sz. Pani skierować się listownie do Pani Brzosko, prowadzącej ten dział.

## OSTATNIE NOWOŚCI

(Pokaz modeli w teatrze Ćwiklińskiej)

Nic tak nie ułatwia zorientowania się w prze-możnych, arcyzawilych nakazach Pani Mody, jak Rewje Mody. Podobne pokazy w Paryżu należą do najbardziej uczęszczanych widowisk, u nas też cieszą się zasłużonym powodzeniem, gdyż możemy sobie z przyjemnością powiedzieć, że wszystkie nowości paryskie dochodzą do nas w najkrótszym czasie, a w umiejętności interpretowania nowych pomysłów nasze wielkie firmy mogą śmiało współzawodniczyć z firmami paryskimi. Podobne pokazy są najracjonalniejszą i najzdrowszą formą reklamy, bowiem każda wytwórnia demonstruje swoje wyroby, publiczność ogląda, porównywa, ocenia, mając przed sobą rzeczywiste „fakty, a nie reklamy.“ Ostatni turniej firm, jakim był pokaz mody w teatrze Ćwiklińskiej, zrobił na widzach tem milsze wrażenie, że wszyscy wyszli zwycięsko z tej szlachetnej emulacji. Każda firma wykazała swoje indywidualne zalety. Śmiałość pomysłów, oryginalne zestawienia materiałów i barw, graniczące nieraz z ekscentrycznością, charakteryzują kolekcje Gustawa Zmigrydera: Ponsowe palto z jedwabiu wytłaczanego, jak skóra krokodyla, wywołało w sercach wielu pięknych pań dreszcz zachwytu. Płaszcz z kasha pervenche, inkrustowany pasami z jaszczurki, mniej jaskrawy, większe mógłby znaleźć zastosowanie w życiu codziennem.

Czarne płaszczki, podbite pstremi, ręcznie malowanymi soie kasha, stanowiące całość z sukienkami z tejże soie kasha, były przesłiczne. Krynolina z żółtej tafty, zdobna różnobarwną aplikacją, była równie efektowna, jak oryginalna. Na szczególną uwagę zasługuje sukienka z kremowej jedwabnej koronki, haftowanej w bukieciki wążiuchną, różnobarwną wstążeczką. Ślicznie harmonizował z tą tualetą duży kapelus z kremowej georgette'y z szeroką koronką ze słomy, przybrany jedwabnemi różami o pastelowych barwach, pochodzący z firmy Henriette.

Ostatni pokaz miał tę wielką zaletę, że obok modeli luksusowych i ultrafantastycznych, zademonstrowano również spokojne kostjумы angielskie, sportowe sukienki z jumperami i skromne sukienki letnie, których nieporównany szyk polega na umiejętnem połączeniu materiału pstręgo z gładkim.

Wszystko, co wychodzi z pracowni Boguch w ała Myszkorowskiego, nosi cechę niezawodnej dystynkcji i wytwornej prostoty w najlepszym guście. Taka np. sukienka z granatowego crêpe de chine'u w granatowe kółeczka, misternie ujęta w gładkie granatowe rami, stanowiła doprawdy arcydzieło dobrego smaku w swej wytwornej prostocie. Sportowe komplety jumper'owe zarówno z trykotu własnego wyrobu firmy Myszkorowskich, jak i z przedziwnych materiałów paryskiego Rhodier'a, uszyte w kraju, mają szyk nieporównany, no i są znacznie przystępniejsze w cenie, niż te, sprowadzone bezpośrednio z Paryża. Szmaragdowa kamizelec z kieszonkami, zdobna białym haftem, zdawała się na sobie nosić podpis mistrzowskiej ręki, która ją stworzyła. W wieczorowej kolekcji B. Myszkorowskiego najbardziej mnie zachwycała tualeta z georgette'y koloru pervenche, haftowana strassami w liście i strzały. No i przepiękne szale z koronki malowanej i przetykanej metalową nicią, stanowiące najidealniejsze skompletowanie wieczorowej tualety.

Kapelusze od Zaremby, towarzyszące tualetom B. Myszkorowskiego, mają swoją ustaloną markę. Każda warszawianka wie, że pani Zaremba posiada ową nieuchwytną tajemnicę „twarzowości“! Te pozornie nieznaczne wygięcia rondo, tuszujące wady twarzy, stanowią niezawodną cechę kapeluszy od Zaremby. Japońska parasoleczka, pleciona z szafirowej słomy i haftowana w kolorowe róże, oraz podobna torebka - portfel (dernier cri), pochodzące również z pracowni p. Zaremby, wywołały frenetyczne oklaski.

Kapelusze od Henriette wspaniale harmonizowały z tualetami od Zmigrydera. Pani Henriette posiada czysto malarskie poczucie barwy: jej artystyczne cieniowanie wstążek stanowi prawdziwą rozkosz dla wzroku. Śmiałe połączenia materiałów tworzą arcyszykowne efekty. Słoma florencka kremowa z drapowaną główką z granatowego filcu i pękiem polnych kwiatów, duża budka ze słomy „manna“ z opasaniem z pstręgo włóczkowego haftu, turban hinduski z amarantowego crêpe de chine'u i czarnego filcu.

Klementyna Kozłowska pokazała malownicze pasterki z pękami polnych kwiatów i kolorowych aksamitek, stosowne do powiewnych letnich sukien, lub robes de style. P. Kozłowska zademonstrowała również bogatą kolekcję wieczorowych kapeluszy z crossami i egretami, oraz oryginalne kapelusiki do kostjumów z zamszu i malowanego filcu.

Młoda firma „Ars Femina“, siedmiomilowemi krokami wysunęła się na pierwszorzędną stanowisko.

Wszystkie kapelusze od „Ars Femina“ odznaczają się spokojną dystynkcją i elegancją w najlepszym guście. Ars Femina pierwsza lansuje najnowszy model kapelusza w kształcie czapeczki Mefista, zakrywającej czoło i policzki. Podobny kapelus z czarnych, błyszczących piór był przesłiczny i arcyoryginalny. Czapeczki tego kształtu, wykonane z zamszu lub filcu, przybranego malowaną i wytłaczaną skórą, ślicznie wyglądają przy płaszczkach podróżnych.

„Ars Femina“ lansuje również maleńkie kapelusiki z filcu, podbite pstrym fularem, tworzące ensemble z szalikami z tegoż pstręgo fularu. Bardzo eleganckie.

Mówiąc, że najładniejsze w Warszawie pantofelki ma Lucjan Leszczyński, nie powiem chyba uroczym warszawiankom nic nowego. Chciałabym tylko zwrócić uwagę czytelniczek na modę pantofelków szafirowych, stosownych do modnych sukien we wszystkich odcieniach błękitu. Więc fantazyjne i oryginalne pantofelki z szafirowego krokodyla, łączonego z ażurowym zamszem. Inne łąciate, pół popielate, pół szafirowe. Dyskretne i ładne pantofelki popielate z szafirową wypastką. Zresztą rozmaitość nieskończona.

Omiał, że nie zapomniałam o właściwym clou pokazu, — sklepie materiałów M. Efraima. Były tam owe przesłiczne soie kasha, z których widzieliśmy takie ładne sukienki, i wspaniałe soie à bordure i brokaty z bajek z tysiąca i jednej nocy. Przytem olbrzymi wybór materiałów płaszczowych i o radości! jedwabi krajowych. Wybór kolorów, jak zwykle u M. Efraima, wprost oszałamiający. Wielki wdzięk pokazu stanowiła śpiewana conférencier'ka M. Röntgena; sądzę, że musiała się bardzo przyczynić do popularyzacji firm. Publiczność, opuszczając teatr, śpiewała chórem na nutę: „Czy pani mieszka sama“?... „czy pani Myszkorowski nie robi krez“...  
Vell.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

**Zdecydowanej — z Białegostoku.** Operacja kostek u nóg może być wykonana bez wielkich kosztów. Z powodów odemnie niezależnych adresu lekarza chirurga podać Pani nie mogę, natomiast przy bytności w Warszawie, proszę się zgłosić telefonicznie, lub osobiście po adres chirurga. Wrazie, gdyby środki materialne nie pozwalały na prywatną operację, można wykonać to na klinice.

**Gwiazdka.** Racjonalna pielęgnacja cery musi być stosowana indywidualnie. Przy tłustej cerze należy twarz myć 2 razy dziennie wodą gorącą, mydłem liljowym, na noc smarować Galaretką Nr. 1 rano „Mój Krem”. Po umyciu gorącą wodą, spłókiwać zimną, używać „Mój puder hig”, absolutnie nieszkodliwy, przy tłustej cerze pudrować należy kilka razy dziennie. Środek na porost rzęs nie istnieje. Wszystkie środki kosmetyczne mogą być wysłane po przelaniu dokładnego adresu. Zamówienia należy uskutecznić: Kruca 31 m. 3.

**Czytelniczkom z Wielkopolski,** Nie należy się ludzi, że galaretka na łojotok usunie tę przykrą dolegliwość wprzeciągu paru dni. Łojotok leczy się przez długi okres czasu. Jest to specjalna właściwość skóry, polegająca na rozszerzeniu gruczołów i nadmiernym wydzielaniu łoju w skórze. Należy tę właściwość usunąć drogą systematycznego leczenia. Jednym z dzielnych środków jest Galaretka. Sposób użycia: Myć twarz 2 razy dziennie wodą gorącą, spłókiwać zimną. Do mycia używać mydło liljowe, na noc Galaretka, na rano „Mój Krem”. Przypudrowywać pudrem higienicznym. Jeśli skóra bardzo wrażliwa, ulegająca szybkiemu zadrażnieniu, zamiast Galaretki Nr. 1 używać Nr. 2. Bardzo dobrze jest przy łojotoku stosować kąpiele przemienne z perełek alkalicznych, gorące i zimne okłady. Unikać mięsa, ostrych potraw, alkoholu i zwracać uwagę na stolec. Na noc bardzo dobrze działa na system trawienny faszka kefiru (kolacje mięsne stanowczo powinny być wykluczone). Leczenie łojotoku powinno się odbywać stale pod kierunkiem lekarza specjalisty.

**Promyk.** Brwi czernić najlepiej tuszem. Dla blondynek najlepiej brązowy, dla brunetek — czarny; należy pamiętać, że odcień brwi musi być ciemniejszy, niż włosy na głowie. Masaż twarzy proszę przeczytać z książki pod tytułem „Piękność i Zdrowie w Życiu Kobiety”. Masaż ten ilustrowany jest rysunkami i opatrzony odp. wskazówkami. Do mycia twarzy radzę Pani używać letniej wody z dodaniem łyżeczki gliceryny i łyżeczki boraksu na miednicę wody. List Pani wyczerpujący otrzymałam, lecz po tylu rozmaitych leczeniach cery, trudno jest coś odpowiedniego doradzić. Po zastosowaniu tyłu środków złych i dobrych skóra musi przedstawiać wiele do życzenia. Najlepszy środek kosmetyczny jest to słońce, woda, powietrze, odpowiedni tryb życia, a przede wszystkim zdrowie. Ze środków kosmetycznych należy używać albo dobre i pewne, albo żadne. Proszę spróbować na twarz zimne i gorące okłady z perełek alkalicznych. Okłady trzeba zmieniać bardzo szybko, woda musi być bardzo gorąca, ostatni okład musi być zimny, następnie wetrzeć „Mój Krem”. Pod puder również użyć należy ten sam Krem.

Naświetlanie na cerę i włosy daje doskonałe rezultaty, jednak należy to zrobić umiejętnie. Proszę przeczytać odpowiedź „Naświetlającej się”

**Naświetlająca się.** Na temat, jak należy się naświetlać, w ostatniej korespondencji dostałam mnóstwo zapytań. Odpowiadam jedną ogólną odpowiedzią. Naświetlanie należy wykonywać ręką umiejętną, fachową. Naświetlanie zależy: 1) od ilości min: naświetlania 2) od odległości naświetlającego się od aparatu. 3) od wieku palnika. 4) od indywidualności skóry. Wszystkie te warunki musi uwzględnić specjalista, który rozstrzygnie, ile naświetlań i t. d. Kilkanaście naświetlań starym palnikiem może nie dać na łojotok włosów żadnych wyników, natomiast kilka naświetlań, dobrane i umiejętnie stosowanych, daje doskonałe rezultaty.

**Femina.** Asymetrię piersi tylko masaż może poprawić. Pielęgnacja biustu powinna polegać na masażu i zimnych natryskach, pół minuty każdy perełkami alkalicznymi, 30 perełek na litr wody wytałej. Do pielęgnacji tego rodzaju natrysków nadają się kobiety tylko zdrowe i zahartowane. Skrzywienie łopatek tylko gimnastyka i masaż odpowiedni może poprawić. Bardzo dobre rezultaty daje wycieranie kręgosłupa rozcieńczoną wódką francuską wraz z solą. (Szkłanka wody, pół szklanki wódki i ćwierć szklanki soli kuchennej) Włosy na nogach tylko diatermja i elektroliza usunąć mogą nazawsze. Przy naświetlaniu konieczne jest używanie kremu i pudru, natomiast niewolno używać środków żrących, gdyż mogą zadrażnić skórę i powodować zapalenie. Zęby nie dadzą się uregulować. Na porost rzęs niema środka nieszkodliwego.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dziecinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

W najbliższych dniach ukaze się książka  
**Dr. JULJI ŚWITALSKIEJ**  
**P. T. KOBIETA NOWOCZESNA WE WSZYSTKICH OKRESACH JEJ ŻYCIA**  
 Książka ta w sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmuje zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety.  
**Cena 6 zł.**  
 Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz”.  
 Po otrzymaniu 6 zł. przekazem, lub przez P. K. O. na konto 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.  
 Czytelniczkom „Kobiety w Świecie i w Domu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW  
 Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.